

PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 36 (205)

WARSZAWA

9 WRZEŚNIA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO - SPOŁECZNY

TREŚĆ

JÓZEF WEYSSENHOFF — WENERA CONTRA CHMIELNICKI I TUHAJ-BEJ
OLGIERD GÓRKA — SIENKIEWICZ A ENCYKLOPEDIA PÓWSZECZNA (II)
KAROL IRZYKOWSKI — PRZEMIANY ALTRUIZMU
JAN ALEKSANDER KRÓL — LEKTURA ULATWIWIONA
KONKURS „PIONU”

ALFRED ŁASZOWSKI

PEN-COOK

I. Wstęp

Tutaj sprzedają kartony. W sekretariacie za brązowym stołem istny Pen-Cook, kultura na kartki, sto atrakcji, cały tydzień w bloku. Za jedne czterysta franków, za walutę, która spada z dnia na dzień, za inflację i dewaluację, za deficyt Republiki Francuskiej turyści błogosławia kraj. Budzimy się co dzień bogatsi, nasz złoty idzie w górę! Gielda, giełda! Konjunktura w kolorze czerwonym! Kiedy nadziejcie rosną, prospekt przypina skrzydła!

Czarne kościoły na lśniących kartkach papieru, a wszystko sprasowane ściśle, taktybys „renesans i gotyk w tabletkach”. Sama esencja, ekstrakt, wzór. Cywilizacja dla turystów. Historia w pedzie, historia o okien autokaru, powtórka, syntetyczny skrót. Bo jutro może być za późno. Świat zdaje maturo, wojna wiś w powietrzu, nie wiadomo z czego będziemy jutro pytni. A może by tak na wszelki wypadek „przygotować”? Rewolucja francuską? Modny temat aktualny, wszyscy „powtarzają”, tylko Rosja ma nowe wydanie, tylko Rosja już umie na pamięć.

Czternastego lipca rewia sił, manewry uliczne, egzamin. Zrobili mały strajk, siecienie w kawiarni, przed tarasem policja w hełmach szturmowych. Zakład gastronomiczny właśnie przerwał pracę, kelnerzy wybierają przed dom. Mają ochotę przetrzepać kolegów z naprzeciwka, dlatego pijemy kawę pod eskortą. Weselo jest, spokojnie, bagnety, wino, śpiew.

Marsylianka na przemian z Międzynarodową, proletariusz wszystkich krajów łączy się.

Wieczór, a rano jedziemy do Rouen.

II. „Filozofia komunikacji”

W przedziale rozmowa o komunikacji. Pociąg zniekształca przestrzeń. Daje perspektywę dwustronną zamiast kręgu kola. Krajobrazy! Ktoś odwraca się od nich ze wstremem. Wolają oburzeni: dlaczego nie chcech patrzeć?

Młody człowiek jest wrogiem kolei. Uznaje tylko podróż powietrzną. Twierdzi, że samolot oszczędza mu zbędnych widoków. Pozwala objąć całość. Mam dosyć pejzazów w pamięci. Mogę sobie zawsze wyobrazić piękniejszy od tego, który jest przede mną. Panie są oburzone. Facet broni się. Mówi pół żartem, pół serio, wrzeszcząc zdymuje kurtkę, zaczyna coś tłumaczyć, wstaje — będzie mówka, czekamy:

Siec komunikacji rośnie. Punkty węzła zbliżają się do siebie. W końcu na świecie każda kropka będzie przesyta linią. Polączymy wszystkie odległości. Już dzisiaj człowiek pokrzyżował świat, wytopił nowe kierunki i promienie. Demoh ruchu wtar-

gnie do mieszkań i ludność zamieszka na stacjach. Wielkie miasto odkrywa nam istotę dażeń naszych. Metropolia pokonuje odległość. Technika życia zmierza do zacieśnienia węzłów komunikacyjnych, a różnice między narodami rosną. Opetala nas konieczność ich kultuwowania. Dlaczego nikt dotąd nie napisał filozofii miasta? A może taka książka istnieje. Jest coś przerażającego w tym, że ciągle musimy pokonywać dale, które między nami rosną. Syzyfowy mit nabiera w tych warunkach szczególnej wymowy. Wystarczy przestać rozumieć, aby ruch nabrał sensu metafizycznego. Myślenie w kategoriach przyczyny i celu zabija wiele cennych wrzeszeń... Trzeba na chwilę odrzucić utilitarny punkt widzenia, dojrzeć w mieście perpetuum mobile, wizję szaleńców i maniaków. Jakież olbrzymi aparat stworzono do walki z przestrzenią! Wszystkie drogi muszą się w końcu gdzieś przeciąć, zaplątać, powikłać. Kto zna światowy rozkład jazdy, może go pewnego dnia zapomnieć. Puści wszystkie maszyny na siebie, niechże się spotkają.

Czyżby wzajemna wymiana usług mogła bez reszty wyłumaczyć fenomen ruchu miejskiego? Trudno uwierzyć. Bo wszelka celowość jest postulowana. Przyjmujemy jej istnienie jako pewnik, nie biorąc pod uwagę wyjątków, które zakłócają „harmonię układu”. Wiadomo, że w każdym społeczeństwie pewna liczba osób żyje wbrew logice i zasadom zdrowego rozsądku. Bezrobiecie powiększyło ich liczbę stokrotnie. Czynnici praktyczne wypełniają zaledwie drobną część dnia, reszta pozostaje nie zorganizowana. Dowolność górną nad momentami utilitarnymi. Pomiedzy „szprychy wielkiego mechanizmu” dostaje się tłum wyjęty spod prawa przyczyny i celu, ślepa siła na usługach przypadków indywidualnych. Ktoż ją zdola obliczyć, przewidzieć i pojąć!

Dawno niedwuznacznie do poznania, że młody człowiek ma hyzia na tle komunikacji, że mu Paryż uderzył na mózg i popsuł „centralę”. Ale on nie dał się zbić z tropu, kreśląc palcem po szybie, tłumaczył. Niech sobie państwo wyobrażą noc, noc absolutną, taką, jakiej nigdy nie ma w dużym mieście. Cisza, spokój, pustka, powiedzmy sobie alarm gazowy, ludzie siedzą w domach — ich ślady, ślady pieszych, narzeszczą mogą żyć swobodnie. Miliony dróg zaczyna błyskać, drzeć, fosforyzować. Każda linia ma inny odcień, znajdują swój graficzny wykras dani i nagle objawia mi się ogólna struktura poruszeń, bukiet kierunków, labirynt, klebowisko, wir.

W sumie chaos, mimo że poszczególne nici biegną wedle logicznych założeń. Wiem, gdzie jest ich koniec, lecz nie zawsze mogę pojąć, ku czemu zmierzają. Oszołamia mnie irracjonalny absurd tego faktu. Jakiś więc fragmenty są ściśle zdeterminowane, a

całość robi wrażenie klebowiska pozbawionego więzi organicznej? Poczucie „dziwności istnienia” przybiera na sile. Ale idźmy dalej. Ilość ludzi, z którymi wiążą nas takie czy inne sprawy życiowe, jest stosunkowo dość niska. Dopiero poza tą granicą uświadamiamy sobie tajemnicę współżycia milionów. Nie znamy się wzajemnie, choć otacza nas ta sama rzeczywistość. Czy można szukać zjednoczenia w świecie rzeczy? Wspólny widok to jeszcze za mało.

Ludzie patrzą po sobie z uśmiechem. Nowe wcielenie Wella nie traci ferwora.

Na przykład, proszę państwa, podróż. Punkt, z którego patrzymy, narzuca swoje kategorie. Dyktuje perspektywę fałszywą i obłądną. Zniekształca dynamiczny pejzaz. W stosunku do linii, jaką wyznacza przedział „jest ustawiony” poziomo, dygocze i drga bez związku z narastającym konturem odległości. Przestrzeń jest łożyskiem ruchu. Szybkość zmienia proporcje układu odniesienia. Narzędzie komunikacji musi przypominać formę, którą ona nadaje otaczającemu światu. Odpowiednikiem elipsy będzie więc konstrukcja aerodynamiczna. Przedziały powinny biec wzdłuż, nie wszędy — to jest postulat natury estetycznej. Kto spogląda przed siebie, widzi przynajmniej pół okręgu kola. Rosnący pęd zaostza łuki horyzontu, aż wrzeszcz...

III

Ktoś przerwał. Jesteśmy już na miejscu, w katedrze. Gotycka pointa dialogu, architektoniczny finał. W międzyczasie złośliwa uwaga: Żeby zaspokoić swój „zmysł jednolitości”, musiałby pan podróżować po morzu w akwarium, zawierającym komplet flory i fauny miejscowej. W drodze powrotnej każemy zrobić z wagonu oranżerię, a ściany obłożyc darnią. Utożsamienie z tłem wymaga zastosowania tych samych jakości. Bądźmy konsekwentni. Zapada cisza.

Z jakich pragnień wyniknął ów kształt doskonaly? Trudno o tym nie myśleć. Psychologizm w zastosowaniu do architektury — cóż może być bardziej anachronicznego? A jednak pytania powstają w nas bez względu na to, czy są metodycznie słuszne i uzasadnione. Wyobraźnia zmusza do snucia hipotez. Ostrołek jest stałym elementem narzędzi pierwotnych. Przypomina torpedy, pociski, zeppelin, miotacze, stąd tyle potencjalnej zdolności do lotu w tych murach strzelistych. Jak najmniejszy opór i jak największa siła wybuchu, ekstazy. Każda mistyka ma w sobie tradycję walk i zmagania. Królestwo niebieskie gwałt cierpi — oto wieża przująca firmament. Gotyk, czyli pęd zakłęty w kamieniu. Dwie żywe wieże cisnień, nie ustający szturm do niebios, lot który porrywa i ogłusza jak grom, jak loskot

gromów. Teraz dopiero rozumiem Przybysia wiersz Notre Dame. Architektura ucieleśnia imperializm liryczny. Zdobywczostwo na gruncie metafizyki, agresję w skali kosmicznej.

Autokar wiezie nas do St Wandville. Starce opactwo, musująca zieleń, wina w piwnicach bulgocą. Snujemy analogie. Ktoś przypomniał klasztor „wykuli” w skale na gotyckim urwisku, na szczerbatej iglicy wśród przepaści, gdzie domy zwisają pochylone wbrew prawom równowagi i oczywistości. Podobno część zakonników całe życie spędziła w podziemiach. Grube mury napierają zewsząd, sufit tłoczy, przygniata, grób zamurowanych żywcem jak gdybyś czuł ciśnienie podchodzących ścian. Objętość kurczy się, zamyka, kazamaty dławia! Przypominam sobie, jak pierwszy raz zeszedłem do metra z myślą o naszych współczesnych katakumbach szybkości. Paryż jest podmynowany pędem. Pęd żłobi dno wielkiego miasta we wszystkich kierunkach. Ruch założony u podstaw istnienia! Korytarze, kruczanki, tunele. Wierzą dziury w materii na przestrzał! Co to będzie, jak materis utraci integralność? Zrywamy połączenia ziemskie, aby pustą przestrzeń powiązać. Od wieków ludzie uchodzący w podziemia dla wspólnej modlitwy albo konspiracji. Teraz szybkość pograża ich, spycha do głębi, każe przesywać największe ciemności. Coraz nam bliżej do miejsc, gdzie już pozostaniemy zawsze, gdy statyka zwycięży a czas przepali organizm. Człowiek współczesny spuścił się ze śmiertczy, działając w jej rejonach. Zdobywamy dla życia nowe strefy, pociągi pędzą wzdłuż grobów, pociągi burzą cmentarze. Żalobna krepka pęka, Prometeusz z płonącym lontem rozsada śmiertelne skały.

A może by tak zwiedzić wioskę St Malo w Bretanii? Miejsceow proboszcz rzębił głazy na spółkę z Oceanem. Potworne maski, ciała ludzi zbudzonych z letargu. Morze opluwa te straszne płaskorzeźby, ślini białą pianą, wciną się głęboko, szarpnie linie wybrzeża. Książd wziął udział w pracy żywiołu, chciał zostać „korektorem ślepych sił”, nadać każdej formie charakter skonstruowany, zatrzeć granicę między naturą a dziełami sztuki. Ocean poprzestaje na zarysach i konturach rzeczy. Projektów swoich nie wykańcza. Tkwią one zawsze w osocozu materii nieukształtowanej. Stąd też przyroda skał bretońskich budzi w nas „nienasycone formą”. Pragniemy wziąć dluto do ręki, zrealizować jego plany i szkice, doprowadzić do końca to co się zaczęło. A może właśnie w tym dażeniu uładzimy. Bo kto wie, czy „potencjalna uroda przedmiotów” nie działa silniej od doskonałości, której już nie nie można ująć ani dodać. Piękno może pobudzać do działań, w przeciwnym razie drażni zamiast dać ujęcie pasji konstrukcyjnej... Ów proboszcz

nocami wykuwał kształt swoich przerażeń. Maski egipskie, babilońskie, asyryjskie, o blizna demonów i księża ciemności. Ostre nury jak dłuta wdzierały się w burze, a on pomagał im rzeźbić.

Gdy mowa o klasztorze St Michel warto przypomnieć uroki wynikające z jego położenia. W momencie przypływu skala jest oblana morzem. Rano żywił cofa się na 18 kilometrów w głąb i odsłania łachę piaszczystą, ziemię niczyją, grunt podmianowy nurtami rzek podziemnych. Raz ktoś uciekał na koniu przed falą, szum, galop i cwał, kopyta w piasku grzęzną a woda coraz bliżej, ściga ją po półwyspy białych pian, potoki, gwałtowne strumienie. Jeździec przez morze spętany utonął na drugi dzień; centaura złowiono w mokrym piasku. W zaulkach klasztornych mistyczny zapach wina. Stechliżny stuleci nie porwie żaden prad, chociaż przeciągi krążankami gonią. Gorący ferment próchna i kwasu. Mnich każdy chodził tu jak nurek po dnie morza, w obrezy ciężkich sklepień, w krzyżownicy ciśnienia napierającego. To architektura zmniejsza w człowieku poczucie objętości własnej. Jakże krucho są członki w obliczu kamieni oznaczonych chwala. Czas się budowlę nie ima, a dom nasz bluźni prawem przemijania.

Wracam. W Rouen zginęła dziewczina Orleańska, w Rouen otrula się pani Bovary. Przykiślizka wita nas mer miasta.

Czterdziestolatki balzakowskie

Jeden dobry bankiet... Kolumny, marmury, czerwień, polsk długich stółów. Złota sala iskry się od blasku. Siedzą wśród obcych ludzi. Rozmawiają o źródłach twórczości. Dostę szkolne, posłuchajmy jednak. To młoda dziewczyna Brawuruję. chce przekora porwać sąsiadów. Pisarze w epokach gwałtu i przemocy na każdym kroku afiszują się ze swoją miłością do człowieka. A wcale nie wiadomo, czy miłość spoczywa u podstawy naszych działań. Wiadomo, że u każdego jest inaczej, ale — skoro już trudno uniknąć ogólników w związku z tym tematem — próbujmy bronić stanowiska mniej popularnego. Twórczość powstaje pod wpływem nienawiści do świata, twórczość nie jest szlachetna. Najwięksi pisarze unikali afirmacji charakterów dodatnich. Trzeba skompromitować przedmiot swych uwielbień, aby dać świadectwo prawdziwe. Jedno uczucie nigdy nie odsłania nam natury ludzkiej. Należy doznawać człowieka przez przytamt nastrojów diametralnie przeciwnych. Dopiero wtedy ujawnia się jego istota.

Proszę patrzeć jak się zabawnie złożyło! Po obu stronach stołu siedzą dwa rodzaje kobiet. Wśród młodych zwraca uwagę pani Jules Romains, brunetka w niebieskiej sukni o pięknie wykończonych, długich i wąskich oczach. Te oczy są złe, ironiczne, pełne irytacji i sarkazmu. Właśnie obserwuje czterdziestolatki siedzące naprzeciwko. Spróbujmy podążyć za jej wzrokiem, odczytać diagnozę, sąd, wyrok. Pani! Puchną za zmęczenia, ale żadna nie opuści ani jednej atrakcji. To są właśnie zawodowe „kongresówki”. Delegaci się zmieniają, przeszoś szlag trafia, a one rok w rok jak amen w pacierz.

Czy te panie, co siedzą naprzeciwko, można zaliczyć do rzędu pisarek?

Alęż nie podobnego! — powiada starszy pan. — To są, no jakby panu powiedzieć: statystyki ruchów kulturalnych, najgorszy rodzaj snobizmu, koncert półinteligencji. Patrzając na nie, rozumiem istotny sens małżeństwa. Kobieta czterdziestolatka, która nie jest żoną, sprawia wrażenie starej panny, choćby miała nie wiem ile romansów w przeszłości.

Wspominam ostatnią książkę Montherlanta. Zarzucając mu forsowanie autobiografii. Słychać głos sprzeciwu. Okradła pamiętnika? Kłamstwo. Nie pisze się o kobietach kochanych, bo miłość sama jest twórczością, jest cyklem sekretów i tajemnic. Żyje tylko w ukryciu przed światem. Powszechna zgoda, więc wszyscy wznoszą toast na intencje ścieśle dyskrecji. Przy końcu stołu siedzi wspaniały okaz, bokser, trener, facet z grubą głową, przy tym na pewno pisarz. Zaraz obok — frenezyczna pani starsza: wiadomo co to jest: rozkoszny koczownik zabawia go, zachęca. Chłopak siedzi ponury, grymasi, prychna jak koń i lypie oczami na jakąś młódkę trzy miejsca w lewo, front. Dziewczyna w towarzystwie mamy krztusi się ze śmiechu. Teraz czterdziestolatki balzakowskie opuszczają salę. Za nimi wóz rozprężonego wapna, kwas węglowy.

P e n - C o o k

Trzydniowa wycieczka nad Loarę przekonała nas, że bedeckerowy schemat poznawania świata dojrzał do tego aby go odrzucić. Jeśli kiedykolwiek bedziecie pelnili funkcję gospodarzy kongresu, wiedzcie pod uwagę rzecz elementarną. Wrażliwość i chłonność pisarza na swoje granice. Nie można jej bezkarnie stepiać, ani bombardować nadmiarem szczegółów historycznych, bo w końcu staje się nudne, męczące i szkolne. Po dwóch dniach jazdy autokarem od zamku do zamku prawie wszyscy mówili: za dużo tego dobrego. Przemęczenie percepcji — tak można określić stan, w jakim znajdowała się większość uczestników. Przeszliśmy po prostu reagować. Po salach snuła się gromada ludzi ogłuszonych, sennych. Bierność i apatia w obliczu nagromadzonej cudów kultury, święta nauka dla ludzi, którzy przeciętnie strunę. Jestem stanowczo przeciwny tej metodzie zwiedzania, uważam ją za barbarzyński przeżytek, zrodzony na gruncie snobizmu nowohogackich półinteligentów.

PP Bedecker i Cook zapomnieli o rzeczy bardzo prostej. Nie wystarczy spotrzeć, aby móc doznawać. Żeby wejść w kontakt z przedmiotem kontemplacji, trzeba mieć po temu odpowiednie warunki. Warunki w jakich publiczność europejska zwiedza obce kraje, przeczą elementarnym zasadom komfortu duchowego. Spróbujmy to rozważyć na żywym przykładzie: Wokół kipi młoda zieleń, lecz pola wzburzone od pędu, na zakrętach Byrrh lub Dubonnet. Człowiek zwałcha w sobie nastroj odświętny, chce uchwycić rytm życia maleńkiej prowincji, zapada w jej codzienność, zaczyna się rozsmakowywać, a tu zamek jeden, drugi, trzeci — wszystkie właściwie podobne, tylko otoczenie ratuje ich wdzięku. Nienustanne pomieszanie elementów jakościowo różnych.

Francja stoczną czerwienią rewolucji, kraj wielkich buntów, żywił przemian, i na-

gle ta cywilizacja dla turystów — nieszczerą i monumentalna. Park, ruiny, akwedukty, śnieżną, patyna, stechliżna. By móc uchwycić tonację otoczenia, muszę być sam, mieć trochę czasu, — nie spieszyć się, nie lecieć, nie słyszeć przewodnika recytującego stereotypową powtórkę z historii renesansu.

Znamy to: kultura na amerykański gust, kultura w pigułkach i tabletkach, esencja, ekstrakt, wzór. Spęd wiosce. Popychają z przodu i z tyłu, ciągle ktoś przechodzi, znajomi robią uwagi, każdy próbuje narzucić swój „nastroj”, opinie za trzy grosze, komentarz, spontaniczny banal.

Niczego nie można swobodnie przemysleć i zaopiniować. Dziennikarki trzepią jak najęte. Chodzi im o uprzedzenie wszystkich możliwych opinii i sądów. Ich zdanie musi być pierwsze. Odrywa się konwencjonalna licytacja wartości, lecz trociny komunalów, jagot nie ustaje. Tu wrażenia idą od razu na pytel. Irytująca bezpośredniość świeci tryumf przed każdym obrazem. Mówi ten, kto nie ma nic do powiedzenia. Prawdziwi pisarze milczą. Ich reakcje trzeba dopiero odczytać. Poczucie odpowiedzialności za słowo w obliczu zjawisk kulturalnych — oto pierwsza cecha artysty. Lecz my zwiedzamy świat w amerykańskim tempie: predko, predko, bo auta czekają, z daleka słychać ryk klasztoru. Typowa salata turystyczna! Jak najwięcej w jak najkrótszym czasie.

Przepraszam. Cywilizacja nie jest sklepem towarów lokciwych. Jej dzieła trzeba przyswajać w małych dawkach, powoli, stopniowo, spokojnie. Tylko skończony nauworież przyswaja sobie dorobek stuleci w pięć minut. Nie potem nie wie i nie nie pamięta, ale może imponować ilością obiektów. A przecież o to rchdzi Zomki nad Loarę... wiadomo: klasyczna trasa francuskiej podróży posłubnej. Jedzie mydlarz ze swoją bogdanką i chwali się, że widział dziesięć pałaców. Statystyczne traktowanie kultury dowodzi zawsze jej braku. Można zrozumieć snobizm u filistrów, drobniomieszczanostwo ma gorzej narowy, ale żeby gromada pisarzy konsumowała dzieła sztuki na funty i tonny aż do zupełnego ogłuszenia, dzień w dzień, — to dowodzi złego smaku organizatorów. Trzeba ludziom dać możliwość wyboru. Nie każdy chce wszystko zobaczyć. Snobistyczna żądza wszystkością pociąga za sobą przesytno, nudę, zmęczenie. — Słowem, groch z kapusta kokciwkij psychizny. Po powrocie do Paryża mój wstręt do muzeów nabral charakteru manii przesławdowczej.

Oburzdyono nam zwiedzanie na czas bardzo długi. Rozumiem dobre chęci organizatorów, doceńmam ich żościnnosć, wykazali jak najlepszą wolę i zupełny brak zmysłu selekcji. Swioście pojety maksymalizm dał rezultaty jak najfatalniejsze. Jeżeli się urzędza wycieczkę dla pisarzy, trzeba zerwać z szablonem Bedeckera i podzielić ich na grupy wedle gustów indywidualnych. Chęć poznać tylko to, co sam uznaj za stosowne. Nie trzęse sobie, aby mi ktoś z góry wyznaczał życie, biegnącą wśród samych cudów świata. Trochę brzydoty nie zawadzi. Wole zobaczyć dwie rzeczy i przeżyć je do glebi, niż wykązać się całym katalogiem „zabytków”.

Nasza percepcja wymaga specjalnej pieczołowitości. Człowiek współczesny instynktownie unika nadmiaru doznań optycznych.

Poznanie wymaga czasu, spokoju, kontemplacji, a przede wszystkim samotności twórczej. Pędzenie w kieracie terminów jest absurdem. Lepiej zrezygnować z dziesięciu obiektów na korzyść jednego arcydzieła. Wycieczka — owsem, ale tylko w gronie głuchoniemych. Z szczebiozącą gromadą za żadne skarby świata. Nasze pokolenie zdola na pewno zreformować system konsumcji dóbr kulturalnych. Każdy weźmie sobie „jadłosis stuleci” i pójźcie tam, gdzie bedzie chciał. Kolektywna latania po mieście niszczy wszelką radość podróży. Pozwólcie nam nie zwiedzać. Między poznaniami a zwiedzaniem nie ma znaku równania. Jeden z młodych pisarzy twierdził, że muzea nastroją nas na ton fałszywy. Wychođąc z nich, nie możemy odnaleźć żywego Paryża. Zasłania go kopuła Panteonu i Luwru i biuro Cooka.

Co nam zostało z tych dni? Pseudoklasyzmyzmyz oźród zieleńa geometria, kubistyczne trawniki, fontanny, altanka obrośnięta różami: brak tylko baranoków i peruk. Ujarzmiona przroda, zieleń w formach skończonych. Idylla. Śniać i szczyptać. Trawniki zbiegają do rzek znieruchomiłych w słońcu. Woda czarna jak portret hiszpański. Siedziba Anatola France'a: Dom wispiński — po naszymu dworek — wewnątrz antkwarij. Obrazy, rzeźby, pamiątki, dużo książek piora gęsie w kubku — ani śladu żywego człowieka. Nawet pamięć po nim umarła.

Muzeum w pięknym ogrodzie, muzeum w cieniu wapienych pod ziemią. Katakumby Dionizosa, beczki, butelki, łocznie, ciemność fermentujących woni, labirynt szampański. Ścieżka przerywa w górę, zieleń kipi na zboczach, szumią krzewy wezbrane od wiatru. Pijemy. Właściciel kropi mowę: lekujecie pieniądze w winnicach. Wino nie może zawieść, alkohol jest wieczny, dodaje wigoru panom, wzmagaa urodę pań. Twarzystwo w ryk, czterdziestolatki zachwycone: jaki miłutki satyr, faun, coż kiedy auto czeka.

Zwiedzaliśmy jeszcze winnice w stromych grotach wapiennych pod ziemią. Katakumby Dionizosa, beczki, butelki, łocznie, ciemność fermentujących woni, labirynt szampański. Ścieżka przerywa w górę, zieleń kipi na zboczach, szumią krzewy wezbrane od wiatru. Pijemy. Właściciel kropi mowę: lekujecie pieniądze w winnicach. Wino nie może zawieść, alkohol jest wieczny, dodaje wigoru panom, wzmagaa urodę pań. Twarzystwo w ryk, czterdziestolatki zachwycone: jaki miłutki satyr, faun, coż kiedy auto czeka.

A te wieczory w Tours! Jedni do kawiarni, a drudzy nad rzekę. Krzaki, latarnie, bulwary, perspektywa w głąb. Mieszkaliśmy w ładnym hotelu. O 12-tej wśród ścian korzartarzy przemukały się kobiety lepkie od kremów. Usłyszałem fragment rozmowy: Królowie francuscy budowali zamki dla faworytów, żeby teraz stare faworyty miały co oglądać. To chyba dowiec pan Jules Romains. W ostatnim dniu pokazała nam swoją siedzibę. Rano było przyjęcie. Ujrzeliśmy dom, w którym powstają *Ludzie dobrej woli*. Tacy właśnie mają zwykłe najostrzejszy język.

ALFRED LASZOWSKI

OLGIERD GÓRKA HENRYK SIENKIEWICZ

A ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA

II

Encyklopedia Powszechna źródłem informacyjnym i orientacyjnym H. Sienkiewicza

Jednym z najbardziej udanych i najcenniejszych dzieł zbiorowej pracy polskiej z drugiej połowy XIX wieku jest *Encyklopedia Powszechna*, wydana w 28 tomach przez księgarznię S. Orgelbranda w latach 1859 — 1868.

Wydawnictwo to skupiło szereg wybitnych uczonych ówczesnej Polski, co prawda niestety głównie z ówczesnego świata „Kongresówki”, dając w rezultacie dzieło reprezentujące zasób wiadomości, którym dysponował ówczesny polski intelekt. Dzieło to cieszy się w całych dziejach polskiej umysłowości najwyższym uznaniem i to niewątpliwie zasłużeń ze względu na poziom i wartość, oczywiście na swoje cza-

sy. Pod tym względem pierwsza Encyklopedia Powszechna Orgelbranda była wszystkie inne następne wydawnictwa tego typu, nawet tego samego wydawnictwa. Słusznie też niedawno temu prof. St. Ketrzynski zaliczył jeszcze obecnie, „choćby przestarzała”, Encyklopedię Orgelbranda do książek, które powinny wchodzić w skład „biblioteki podręcznej historia polskiego” (*Nowa Książka*, IV, 1937, str. 117). Encyklopedia bowiem Orgelbranda do czasu rozpoczęcia wydawnictwa *Słownika Biograficznego* przez naszą Akademię Umiejętności zastępowała, a nieraz jeszcze po dziś dzień zastępuje brakującą nam szybką orientację biograficzną o wybitnych postaciach dawnej Polski.

Jednym z najważniejszych, czy najwęższych współpracowników tejże Encyklopedii był znany całej Polsce historyk Julian Bartoszewicz, który niezależnie od 11 tomów późniejszego wydania swych pism itd., umieścił w samej-że tylko Encyklopedii Orgelbranda 1921 artykułów, z których

cały szereg oparty jest o specjalne badania historyczne, nieraz nawet archiwalne, przyczem artykuły te przyniosły wyjątkową wprost ilość najrozmaitszych szczegółów do polskiej przeszłości. Jak dalece praca J. Bartoszewicza w Encyklopedii Powszechniej cieszyła się poważaniem u polskich historyków, może służyć za dowód uwaga M. Bobrzyńskiego, który artykuły J. Bartoszewicza i M. Sobieszcańskiego w Encyklopedii Powszechniej, jako zawierające „całą historię polską” zalicza do najwybitniejszych dzieł „szkoły lelewelowskiej” naszej historiografii (*Dzieje Polski* wyd. IV, t. I, str. 15). To przytoczenie sądu Bobrzyńskiego wystarczająco ilustruje brak przygotowania tych wszystkich, którzy wymienienie Encyklopedii wśród źródeł, decydujących o sądach Sienkiewicza, uważali za jakąś złośliwość lub chęć pomniejszania. Po prostu mający się tą kwestią, nie w ogóle nie wiedzieli o roli Encyklopedii Powszechniej w

życiu umysłowym Polski z drugiej połowy XIX wieku.

Zwłaszcza zaś dla ówczesnego życia intelektualnego Warszawy była Encyklopedia walnym źródłem informacyjnym. Szczególną wagę odczytanie należy przykładać do artykułów Bartoszewicza, który nie tylko był najbardziej swego czasu wziętym w Warszawie historykiem, ale także przez pewien czas nauczycielem H. Sienkiewicza. Nie mamy wprawdzie takich relacji o stosunku Sienkiewicza, jako ucznia, do Juliana Bartoszewicza, jak np. w odniesieniu do jego nauczyciela Wojciecha Grochowskiego, gdyż w ogóle ten stosunek nie był dotychczas opracowywany, a niewątpliwie znalazłby się jeszcze do tego materiały wspomnien. W każdym razie, zawiadzamy zawsze bogatym w informacje F. Hoesicko — nie tylko wiadomośc o tym, że Julian Bartoszewicz uczył Sienkiewicza w VI klasie gimnazjalnej, — „bronil go żarliwie” (*Sienkiewicz i Wyspiański*, Warszawa 1918,

str. 131.), ale nawet, że obniżył mu poprzędnie celujące stopnie z polskiej historii na dostateczne (o. c. 132). Z późniejszych uwag wyniknie, że ten stosunek, czy raczej wpływ intelektualny J. Bartoszewicza na młodocianego Sienkiewicza musiał być znacznie głębszy. Jakkolwiek bowiem Bartoszewicz, zmarły w r. 1870, w okresie, gdy Sienkiewicz oddał się psychicznie do „bohaterów-łiliputów”, już nie działał, to niemniej całość jego krącowych poglądów na Koczany i Jeremiego Wsiwiockiego oddziaływała nadal wszechstronnie przez artykuły Encyklopedii, a sama jego rola, jako historyka, została właśnie zaktualizowana dla świata warszawskiego przez zbiorowe wydanie jego pism w latach 1877 do 1882.

Przed omówieniem jednak intelektualnego wpływu historycznych poglądów J. Bartoszewicza na Henryka Sienkiewicza w latach 1882/3, celem udowodnienia, że Encyklopedia była obok Kubali decydującą dla jego sądów o XVII wieku i sprawie koczackiej, muszę poruszyć stosunek H. Sienkiewicza do samej Encyklopedii Powszechnej, jako do swego źródła inspirowanego, orientującego i informującego. Stało się to konieczne wobec faktu, że mimo upływu przeszło 50 lat i istnienia blisko 250 rozpraw o twórczości i metodach pracy H. Sienkiewicza, nikt tej tak ciekawej i ważnej obserwacji dotychczas nie dokonał, a nawet nie umiano w ciągu kilku lat wyzyskać udzielonej przez mnie w tym kierunku wskazówki. Oczywiście będąc zajęty całym szeregiem innych prac, nie mam zamiaru opracowywania tych kwestii i wyzerpania całego zagadnienia: Sienkiewicz a Encyklopedia powszechna. Ponownie, choć obszerniej, rzucam w artykule tylko pewne punkty obserwacyjne w nadziei, że przysłe do poważne i metodyczne studia nad twórczością naszego największego powieściopisarza moje uwagi i wskazania rozbudują.

Znana jest wszystkim badaczom Sienkiewicza uwaga — raczej złośliwa — A. Świętochowskiego o nadzwyczajnym orientowaniu się od młodości przyszłego wielkiego powieściopisarza w herbach polskich. Ciekawe jest więc stwierdzenie, że Sienkiewicz, który w latach przed powstaniem „Trylogii” ciągle szperal po książkach za herbami, nie tyle w sensie badań heraldycznych-genealogicznych dla celów naukowych, ile dla swej osobistej orientacji w sprawach ukochanej przez siebie szlachty polskiej, — wertował przede wszystkim, czy może nawet wyłącznie, herby polskie w Encyklopedii Powszechnej Orzelbranda. To szperanie za herbami stało się podstawą faktu, dotychczas w naszych badaniach historyczno-literackich nie zauważonego, że z tego źródła brał Sienkiewicz niektórych swoich bohaterów. Tak więc w tych poszukiwaniach natknął się Sienkiewicz na herb Kurcz (Encykl. Powsz. t. XIV, str. 473) i tam znalazł informację, że Kurcewice „zawali się też niekiedy Bulhymi i rozdzielił się na dwie linie, z których jedna stała siedziąca w swym gnieździe na Wolyniu, druga na Litwie się przeniosła. Zdaje się, że pochodzili z Ruryców”, chociaż się od Koryjata wywodzą”. Tę notatkę J. Bleszynskiego z Encyklopedii powtórzył nawet z bardzo pokrewnymi wyrażeniami Sienkiewicz w wstępie do rozdziału *IV Ogniem i mieczem* w słowach: „Kurcewice-Bulhowie byli to starzy książęcy ród, który się Kurczem pieczętował, od Koryjata wywodził, a podobno i stąd siedzibę od Rurycy. Z dwóch głównych linii, jedna siedziała na Litwie, druga na Wolyniu” (wyd. Ossoliński, I, str. 34), po czym począł już komponować fabulę powieściową o zadnięciańskiej linii Kurcewiczów i oju bohaterki Heleny.

Nie jest moim zadaniem przeprowadzenia szczegółowego rozbioru stosunku Sienkiewicza do Encyklopedii Powszechnej, jako źródła inspirowanego, i wykazywania najrozmaitszych zbieżności (zwłaszcza z rozprawami koczackimi), wypływających z czytania się w tym najbardziej ówczesnie wziętym źródle informacyjnym. Niewątpliwie jednak zainteresuje moich czytelników fakt, że ta sama historia, co i zacierpieniem rodziny Kurcewiczów z Encyklopedii Powszechnej, powtórzyła się potem przy bohaterze *Potopu* — Kmicicu, który, jak powszechnie wiadomo, wywodzi się z danych o Samuele Kmicicu. Mianowicie, znowu w czasie szukania za herbami w Encyklopedii, natrafił Sienkiewicz na herb Kmicic (Encykl. Powsz. t. XIV, str. 888) i tam znalazł notatkę następującą: „Kmicic (Samuel), synowiec poprzedzającego (scil. Mikołaja jezuitę, poety ławnego), chorąży orszański, starosta krasnosieński, jeden z znakomitych pułkowników, słynny z talentu i odwagi w zawodzie ryckim, najchlubniejszych zasług jego daje świadectwo Konstytucja z roku 1670”. Ponownie ta notatka K. Wójcickiego, w połączeniu ze wskazówką z dobranej mu znanej *Księgi Pamiętniczej* J. Michalowskiego (Kraków, 1864, str. 766) o konfederacji Kmicicu,

wrogu Janusza Radziwilla, dała Sienkiewiczowi zarys postaci bohatera *Potopu*, chorążego orszańskiego Kmicica, z tym, że powieściopisarz imię jego Samuel, bardożemże w magnackich, czy większych domach szlacheckich, zmodyfikował według upodobań nowszej sarmatyzmy na Andrzeja. Ponownie nie jest moim zadaniem omawianie na tym miejscu tych wszystkich innych elementów, względnie wzmianek (Pasek), analogii, odgłosów, które się złożyły w Sienkiewicza na postać bohatera *Potopu*, jak np. Jakuba Kmicica, Pokłoińskiego i t. d. Sądzę, że raczej wystarczy przypomnieć moją poprzednią uwagę, a mianowicie, że wpływ na psychiczne formowanie tej postaci powieściowej miało u Sienkiewicza również osoba Jana Sobieskiego, dowodzącego przelotnie oddziałem tatarskim, a znanego ze swego politycznego „nawrócenia się” w r. 1556. Nie da się bowiem utrzymać przypuszczenia p. dr Juliusza Kijasa, wypowiedziane w jego nowej pracy p. t. *Źródła historyczne „Potopu” Sienkiewicza* (Prace historyczno-literackie ku czci Ign. Chrzanowskiego i odb. Kraków 1936, str. 5) o zacierpieniu postaci Kmicica z herbarza Niesieckiego. P. dr Kijas przeoczył widocznie wzmiankę o Encyklopedii Powszechnej, skoro kontynuując swą tak pozytywną pracę stwarzania rzeczowej podbudowy dla przyszłej metodycznej monografii Sienkiewicza, nie zbadł tego właśnie źródła informacji Sienkiewicza, chociaż zwrócenie uwagi na Encyklopedię byłoby mu zaoszczędziło sporą część pracy nad wyszukiwaniem źródeł, z których czerpał swe dane fabularne autor *Potopu*. Sienkiewicz o Samuele Kmicicu (który zresztą występuje w dokumentach tego czasu np. jako podpisany ze strony polskiej na kapitulacji Rakocznego) — wiedział tylko to, co podawała Encyklopedia wraz ze wzmianką o konstytucjach r. 1670, podczas gdy Niesiecki w wydaniu J. Bobrowicza wspomina jego brata Jana, a zwłaszcza podaje dodatkową wiadomość o późniejszej godności Kmicica jako strażnika w. ks. litewskiego (V, 122). Sienkiewicz, ograniczając się w tej sprawie do informacji Encyklopedii Powszechnej, szczegółu tego nie znalazł, gdyż inaczej byłby go przytoczył w zamknięciu powieści, gdy opowiadał o finale życiowym Kmicica, jako starosty „powszechnym zbanikiem otoczonego” (wyd. Ossol. III, 278).

Omówiłem zaś obszerniej ten moment notatki, z której się zrodził Kmicic z *Potopu*, by zwrócić uwagę, że wszelkie sądy o źródłach i fabule *Ogniem i mieczem* oraz *Potopu*, wypowiedziane bez uwzględnienia Encyklopedii Powszechnej Orzelbranda, będą wymagały uzupełnień i zmian. Odnosi się to ta uwaga również do przypuszczenia p. dr Kijasa o braniu nazwisk szlacheckich przez Sienkiewicza z Niesieckiego (o. l. 32). Tymczasem Butrymowie, Kulwiecie występujący w Encyklopedii, nazwa Laudanicy (nigdy u Sienkiewicza Laudanicy) pochodzą od rzeki i porzeczka, a inne z ogólnej znajomości nazwisk szlacheckich. Gdyby bowiem Sienkiewicz był zaglądał do Niesieckiego, jak przyjmuje to dr Kijas, — to dowiedziałby się, że nazwał Syrucim „pacholka” do koni Wolodyjowskiego w Laudzie (wyd. Ossol. I, str. 84), podczas gdy jeden z Syruców z wieku XVIII pisał się nie mniej nie więcej tylko „Syruc na Lawdzie” (Niesiecki. VIII. 391). Naprawdęm przykładem to ściegółki, by podkreślić, jak łatwo zmylić źródła fabularnych, jeśli dla oceny źródła powieściopisarza nie bierze się pod uwagę względnie najprostszymi drogami orientacyjnej, obok słusznych praw artysty komponowania swej treści i swych postaci.

Popozostając jednak przy zagadnieniu Sienkiewiczowskich bohaterów, chciałbym — zresztą wychodząc poza krąg myśli obecnych tematów — zwrócić uwagę, że łączność inspirowano-informacyjna Encyklopedii Powszechnej da się wykazać w pewnych wypadkach nawet dla tych późniejszych o-kresów twórczości Sienkiewicza (1895 — 1900), kiedy to, jak zwłaszcza w *Krzyżakach*, operuje już zupełnie innym zakresem przygotowania, niż przy początkach *Ogniem*

i *mieczem*, a najwybitniejsi uczeni ówczesnej Polski czuli się szczęśliwi, jeśli mogli służyć wielkiemu powieściopisarzowi informacjami i szczegółami. Ciekawe jest bowiem niezaprzeczenie, że w tym okresie już takim innych metod pracy Sienkiewicza odnajdźmy cały rzut postaci Petroniusza z *Quo vadis* właśnie w Encyklopedii Powszechnej (t. XX, str. 610/11). Ten zarys postaci Petroniusza z Encyklopedii Powszechnej, jako epikurejczyka, arbitra elegantiarum, który w momencie otwarcia sobie żył w Cumae posłał swój list-pamflet Neronowi, to jakby ostatnie echo tych tak rozlicznych inspiracji i informacji zaczerpniętych — oczywiście znacznie dawniej — z Encyklopedii Orzelbranda, które odnajdziemy w twórczości Sienkiewicza.

Rzucam zresztą na tym miejscu tylko pewne uwagi i wskazówki dla tych, którzy kiedyś zechcą metodycznie studiować genezę postaci Sienkiewiczowskich. Powróćmy bowiem do tych dwóch pierwszych powieści, jak i szczegółów w nich zawartych, które się potem złożyły na całość t. zw. „Trylogii”. Można by zaś takie studium przeprowadzić systematycznie, poczynając już od pierwszych scen *Ogniem i mieczem*, gdyż np. przedstawienie się Chmielnickiego Skrzetuskiemu jako „Zenobi Abdanek, herbu Abdanek z krzyżkiem” (wyd. Ossol. I, str. 6) jest wprost wzięte z artykułu J. Bartoszewicza o Bohdanie Chmielnickim („Zenobijusz” z herbem „Abdanek z krzyżkiem”, t. V, str. 358/9). Znajdą wówczas ci badacze zagadnienia: Sienkiewicz a Encyklopedia Powszechna Orzelbranda, zarówno szereg momentów, które Sienkiewicz brał z teje Encyklopedii, jak też eksponując, że na wy-padek spotkania innych informacji już pojęcia swej pomysłu powieściopisarzkiej w innym kierunku odchodził Sienkiewicz od wskazówek Encyklopedii Powszechnej, np. przy śmierci Barabasa, opisie Złoty Wód w *Ogniem i mieczem* i t. d. i t. d. Najciekawsze miało miejsce pod wpływem Kroniki Welyczy, którą Sienkiewicz uważał za pierwszorzędne współczesne źródło koczackiego pochodzenia, czego nie można mu brać za złe, skoro w 50 lat potem moi rozmaitości polemiki popelniali ten sam błąd w stosunku do tej apokryficznej kompilacji. Niezależnie jednak od tych różnic i podobieństw, można często stwierdzić, że jeśli znajdujemy tu i ówdzie u Sienkiewicza bardzo szczegółowe wiadomości, nawet z dziedzin tak mało przystępnych, jak sprawy tatarskie lub jakieś momenty z życia Sycy — np. w rozdziale IX *Ogniem i mieczem*, jako opis narady u „kantarceja” wojskowego Sycy, o przedmieściu Hasan-Basy i t. d., — to będą to odgłosy, zresztą przetwarzane, wertowania najrozmaitszych informacji zawartych w Encyklopedii Powszechnej. Obserwacja ta znajduje szerokie zastosowanie zwłaszcza dla pierwszych części *Ogniem i mieczem*.

Znaczenie jednak ważniejszą rolę, niż dostarczenie postaci bohaterów powieści i szczegółów informacyjnych lub fabularnych, odegrała Encyklopedia Powszechna Orzelbranda w twórczości Sienkiewicza, jako jego *podstawowe źródło orientacji bibliograficznej* dla dzieł XVII wieku. Encyklopedia ta bowiem stanowiła dla lat powstawania *Ogniem i mieczem* oraz *Potopu* jedyną, szybką a naukową możliwość zorientowania się, co dotychczas o danej kwestii historycznej ogłoszono. Bibliografi historyi polskiej jeszcze nie mieliśmy, a to, co surrogaty z tego zakresu przynosiły, nie mogło się mierzyć z bogactwem i dostępnością takiej „księgi bibliograficznej” jak informacje Encyklopedii. Jest więc rzeczą zupełnie naturalną, że Sienkiewicz, przystępując np. do zbierania materiałów do *Potopu*, przede wszystkim wynotowywał do swej lektury książki podane w takich artykułach Encyklopedii, jak *Jan Kazimierz*, *Maryja Ludwika*, *Janusz i Bogusław Radziwiłłowie*, *Stefan Czarniecki*, *Czestochowa* i t. d. i t. d. i w ten sposób osiągał względną zresztą tylko orientację o wydanych źródłach i opracowaniach dla czasów *Potopu*. Nie-

ważliwie, jako człowiek, który od czasów sukcesów w toku pisania *Ogniem i mieczem* stał w środku zainteresowań intelektualnych, a zwłaszcza historyczno-literackich całej Polski, otrzymał Sienkiewicz szereg uzupełniających informacji bibliograficznych, niemniej zbadanie jego źródeł przy pisaniu *Ogniem i mieczem* oraz *Potopu* wskazuje dobitnie na to, że *niemał wyłączną orientację bibliograficzną — oczywiście poza głośnie, właśnie wydany mi- nościami — stanowiła dla niego Encyklopedia Orzelbranda*. Z tego to powodu wspomniane, że przy pomocy Encyklopedii Orzelbranda byłby sobie dr Kijas zaoszczędził większości pracy i poszukiwań, gdyż bez czytania się w treści, bez zestawiania tekstów można — już na podstawie informacji bibliograficznych Encyklopedii ustalić, jakie opracowania i materiały mogły być znane Sienkiewiczowi dla spraw, które go interesowały z względu na planowane, lub pisane powieści, co zresztą odnosi się głównie do dwóch pierwszych z późniejszej „Trylogii”. Byłyby wtenczas Kijas zauważył, że ogromna przewaga, czy niemal wyłączność, materiałów Sienkiewicza do tych dwóch powieści, to publikacje sprzed roku 1868, tj. sprzed daty zamknięcia wydawnictwa Encyklopedii, a nie sprzed roku tworzenia, t. j. 1883, względnie 1886. Co więcej, Sienkiewicz szereg, bezpośrednio odnoszących się do spraw *Potopu*, polskich publikacji z lat 1870 — 1885 (por np. choćby u E. Maliszewskiego: *Bibliografia Pamiętników Polskich*, Warszawa 1928, str. 46—54) nie uwzględnił. Podwójne to objawu prosty, tj. brak tak dogodnego informatora bibliograficznego jakim mu była Encyklopedia dla lat do 1868.

W zakresie informacji Encyklopedii Powszechnej i w sposobie podawania wskazań przez tę publikację leży wreszcie odpowiedź na najciekawszą, a dotychczas w ogóle nie postawioną kwestię z zakresu źródeł Sienkiewicza przy pisaniu *Potopu*. Otóż Sienkiewicz, który — za wskazówkami Encyklopedii Orzelbranda — korzystał np. dla spraw Bogusława Radziwilla, obłężenia Czestochowy z maloznacznymi monografiami, zapomniał druków itp., — nie znał, a przynajmniej, jak można stwierdzić, nie wyszukał w *Potopie* tego źródła, które w ogóle wśród źródeł historyograficznych jest *najważniejszą* dla spraw i czasów *Potopu*, t. j. okazałych tomów S. Pufendorf: *De rebus a Carolo Gustavo... gestis* (Norymberg 1696). Jakkolwiek bowiem p. dr Kijas zalicza to dzieło do grupy źródeł, czy materiałów, co do których „nie można jednak mieć pewności, że właśnie z nich, a nie ekadają czerpał swe wiadomości autor „Trylogii” (o. c. str. 3 i 4), to jednak muszę stwierdzić, że wszystko to na wskazuje, że Sienkiewicz z tego najcenniejszego źródła do wojen Jana Kazimierza z Karolem Gustawem nie korzystał. Pufendorf zawiera cały szereg takich szczegółów, — jak np. o księżach na Zmudzi i Litwie, którzy na czele chłopów walczyli ze Szwedami w r. 1656, o zgonie na polu bitwy pod Szawłami jednego z tych księży, itd. itd., — które byłyby Sienkiewicz niewątpliwie wyszukał dla swej fabuły powieściowej, gdyby je znał. Dla odmiany zaś źródła wszystkich informacji historycznych *Potopu* dają się ustalić bez uciekania się do wiadomości Pufendorfa. Odpowiedź na ten zastanawiający fakt uwzględniana przez Sienkiewicza z jednej strony źródeł nawet podrzędniejszego znaczenia, a z drugiej pominięcia najważniejszego, — daje ponownie Encyklopedia Powszechna. Pufendorf figuruje wprawdzie w Encyklopedii Powszechnej pod swym nazwiskiem, jako uczony prawnik i pisarz historyczny, ale nie jest ani on, ani jego dzieło wymienione przy żadnym z ustępów (nawet przy dziełach Karola Gustawa), w których mógł ewentualnie Sienkiewicz spodziewać się i szukać wskazówek rzeczowych i bibliograficznych dla epoki, o której miał zamiar, względnie już pisał powieść.

Rzucam na tym miejscu tych parę uwag o sposobach pracy i źródłach powieści Sienkiewiczowskich lat 1883—6, nie tylko by wskazać drogi poszukiwań, ale zarazem jeszcze raz podkreślić fakt, podnoszony swego czasu przeze mnie, a potem przez J. Kaden-Bandrowskiego, że jesteśmy jeszcze bardzo daleko od metodycznego opracowania twórczości naszego największego powieściopisarza.

Ten zaś stan rzeczy najdobitniej uwi- doznia się w dotychczasowym braku informacji w Sienkiewiczowskiej literaturze o wpływie historycznego stanowiska Juliana Bartoszewicza na sądy H. Sienkiewicza o Polsce z połowy wieku XVII.

OLGIERD GÓRKA

¹ W pierwszym artykule p. t. *Henryk Sienkiewicz a „Encyklopedia Powszechna”* (par. Pion, nr. 35, z dnia 2 b. m.) wkradł się na str. 2, szpalt 4, wiersz 28 od góry, błąd drukarski, a mianowicie data ukoniecznienia studiów historycznych przez H. Sienkiewicza została podana jako 1872, a nie 1870 jak być powinno.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

WYJAZD WNUKA

Okładzali brzożowym dymem konie. Spod złotych ich koców wiatr w brzezince strzypił grzywe i kapaly rude świece. Smugami lubinu zapachniały siwe lejce, siano ładowali na karocę.

Stańca za stogiem nocą trumienka pieśni pastuszey w stercie liści, gdzie — kuni, a w izbie piłk rum. W izdebce lyżnik jak flet klapkami lipek rusza, lipowe lyżki zmieniały okna na lipę ciemnego szumu much.

Aż poniósł mnie ranek i chłodna, bukowa wieś i dal — Dokąd uciekasz, kraju mój, od zielonych półkószków? Jeszcze złotem spóźnionego sadu upominała jak żal babusia, żółta zapaszkę śliu mi niosąc do wozu.

JAN ALEKSANDER KRÓL

LEKTURA ULATWIONA

Niezapisany stan służby Stanisława Wasylewskiego wywodzi się z gconcourtońskiego typu dziennika. Modnym i popularnym u czynił go u nas Boy. Jego *Znasz-li ten kraj, czy Lorentowicz* *Spożyczenie wstecz* oparte są na tym samym schemacie: literat spiesuje plotki, anegdoty i ciekawostki biograficzne, dotyczące współczesnych mu literatów. Książka Wasylewskiego różni się od francuskiego pierwowzoru tylko rodzajem — nie jest dziennikiem, lecz pamiętnikiem. Autor *uspomina* pisarzy, poetów, dziennikarzy, aktorów i polityków, których znał czy widział w przedwojennym Lwowie. Toteż poza osobą narratora poszczególne rozdziały łączą w całość wspólny teren, szerszy — Galicja, węższy — Lwów, a także — wspólny czas. W ten sposób, eksploatując łatwo własne wspomnienia, igra pisarz z niepomierne trudniejszym i wyższym zadaniem. Nasuwa się mu bowiem jako nadrzędny temat: *monografia* literackiego Lwowa przedwojennego, otwierającą perspektywę na to minioną epokę. Taką sytuacją jest pełna dynamika: autor musi się zdecydować. A dokonując wyboru, z góry wyznacza skalę ewskiego wysiłku twórczego. W podtytułe książki Wasylewskiego można by umieścić zdanie: „to, co pamiętam, napisane jestem, który znać i podziwiać”. Autor więc zdecydował się. Inna rzecz, że mógłby się zdecydować inaczej. Skrzętnie, na gorąco robione zapiski Gconcourta były świadomie traktowane przez autorów jako surowy materiał do przyszłych biografii. Gdy się jednak pisze nie dziennik, ale pamiętnik, spożyczenie wstecz nie powinno ograniczać się do wspomnień realistycznych, obowiązują wtedy syntetyczne ujęcie materiału, a nadto problematyzacja, do której prowokuje i posiadany materiał i odpowiedni dystans czasu. Wasylewski nie jest pierwszym, a zapewne i nie ostatnim autorem, który uchybia się od zadań wyższego rzędu, do jakich zobowiązuje ten rodzaj literatury.

Było by jednak nierozsądnym lekceważyć „zapiski”, skoro pisarz nie potrafił, czy nie chciał dać monografii. W książce Wasylewskiego wypada nam kontentować się w pierwszym rzędzie samym materiałem, w drugim zaś — majstersztykiem narracji. Co prawda materiały są w różnym gatunku, nie rzadko nawet — fikcyjne, gdy np. autor poświęca cały rozdział opisywaniu Askenazego... wertykalnego „zadziwiająco szybko” konwultry źródło, lub gdy o Pawlikowem tyle ma tylko do powiedzenia, że pan z Medyki był u niego w redakcji oznajmia, iż obejmując teatr. Z podobnych fragmentów widać, że konsekwencja „ulativnego” typu gconcourtońskiego jest — dziennikarskie efekciarstwo mównioma o niczym. Literacko konsekwencja to — paradoksalna: znika konkretny materiał, miejsce, które zajmuje „bujanie”; społecznie — niepokojąca. Czytelnik bowiem, który jak ćma ciągnie do wielkich nazwisk, złudzony fałszywym blaskiem, staje się entuzjastycznym miłośnikiem... blachostek. (Nawiasem mówiąc, czytelnikowi takiego chętno mamy dziś w Polsce bardzo wielu). Są to oczywiście cienie na *Niezapisanym stanie służby*, ale nie brak też światła. Czytamy o babce autora, która w estambulu przechowywała listki z grobów naszych bohaterów narodowych, a na swej penieji wprowadzała rewolucyjny program, bo obok „sztuk pięknych” przyrodę, historię i t. p. nauki. Czytamy o wystawie lwowskiej, gdzie pokazywano pierwsze cuda elektryczności: tęcza fontaunne i tramwaj. Ach, jakże nie odczuć tej przemożności, upamiętnionej postaciami tak rzetelnymi, jak Łoziński, redaktor *Gazety Lwowskiej*, jak Czapecki, Jowisz na Krakówkim Przedmieściu w latach 1875—1885 — był to Lwów z epoki Gołuchowskiego.

Nadeszły czasy nowe. Najmłodsze pokolenie czyta na ławie szkolnej świeże wydane *Szyfowane prace* i zardości kongresowiakom kolegom „obfitych rzeczy zakazanych i przysmasu walki”. Puska i duszność egzystencji w cesarsko-królewskiej Galicji jakże jest obca dramatycznej sytuacji za kordonem — myślą „promieniom”, „promieniom”. Oczywiście, „nieśmioleni”, bo właśnie rozwija się we Lwowie ruch socjalistyczny, ale i z nim niesposób się żyć. Nie jest wprawdzie nudny, ale „bluznierczy”. Uderza właśnie w pierwsze zachwyty i porwy młodych: w teatr Pawlikowskiego, w zacerowane kolo sceny. Młodzi wracają przeto do tradycji.

¹ STANISŁAW WASYLEWSKI: *Niezapisany stan służby*. Wyd. J. Przeworskiego. Warszawa 1937. Str. 238.

Rosną w kulcie wielkości. Często Słowackiego i Wypiańskiego, toczą atamentowe wojny z Hellerem „kasowym” dyrektorem teatru, „Cyganiami” z aktorami: Adwentowiczem, Jaraczem i inn., zhorzając piosenki batiarów do lwowskiego Balonika, rzucając na gród nadpeltwianski pisma wyszydające, jak *Satyrykon*, *Szczutek*, dostępują się rang pisarzy, poetów. (Wasylewski spie na nazwiskami jak z rogu obfitości). Piszą w ówczesnym Lwowie: Irzykowski, Nalkowska, Bandrowski, Staffowie (Leopold i Ludwik Maria),

JÓZEF WEYSSENHOFF

WENERA CONTRA CHMIELNICKI I TUHAJ-BEJ

Zapomnianą dziś nieco postać piewcy ostatnich bodaj polowań na Litwie przywozi żywo na myśl obecna wystawa „Lowietwo w sztuce”, zorganizowana przez Zachętę i Polski Związek Łowicze. Jozef Weyssenhoff, namętny myśliciel, b. prezes Towarzystwa Zachęty do Sztuk Pięknych w latach 1893—1896, powinien patronować zbiorom, które w lwiej części są ilustracją myślowych wypraw z *Sobola i Fanny* i „podkarłow” z *Puszczy*.

W niedrukowanych dotąd, z wielu względów arcyciekawy pamiętnik Weyssenhoffa kilka karek poświęconych jest wspomnieniu z tego czasu. A był to okres dla Weyssenhoffa bardzo szczyśliwy. Obudzony z „gnusnego uspienia” dotychczasowego „wesołego życia” przez Ludwika Gorskiego, który przy pomocy Weyssenhoffa postanowił zgłaiwaczować zamierzające u progu piędziestolecia imienia nastające polskie pismo miesięczne *Biblioteczka w Warszawie* — zabrał się autor sławetnego *Zywoła i myśla Zygmunta Rojupskiego* do metatego zadania wydzignęcia miesięcznika z upadku z wiekiem zapatem. „Nie smucem nazwać tego pomysłu (t. j. wyboru na wydawcę i redaktora *Biblioteki*) genialnym, skoro mnie dotychczas — był jednak niepospolity z tego względu, że ja miałem wtedy zalecane w gronie bliższych znajomych reputację zdolności literackich, przez zatem druk jeszcze nie potwierzoną. Pomysł okazał się w każdym razie szczęśliwym — uia pisma i dla mnie”.

Na te lata przypada również zacieśnienie przyjaźni z Dionizym Henkiem, którego, po objęciu kierownictwa *Biblioteki*, postarał się Weyssenhoff pozyskać na współpracownika i z którym, znajomość, według wyrażenia samego Weyssenhoffa, sarażyła pisarzowi za „kurs uniwersytecki sztuki piarskiej”. „...redagowanie *Biblioteki*, a zwłaszcza codzienne niemal przyjaźnie stosunki z Henkiem dawały mi sporo zadowolone zsiachy, skierowały moje myśli i zdolności na właściwe tory. Obudzili się we mnie usłone ambicje literackie; przychodzili mi wreszcie do głowy wyższe pomysły. Najszczyśliwszym z tych pomysłów była podróż do Grecji, odbyta w jesień 1891 r.”. „Nigdy w życiu nie wleciałm do nauki z taką rozkoszą, nie nauczyłem się tyle w krótkim czasie, jak podczas samotnej wewróki po ruinach Grecji”.

Właśnie po tym ożywczym zastryku podniosłej atmosfery hellenickiej, w której dokonał się literacki chrzest Weyssenhoffa, odtroczony, pełen artystycznych natężeń, zabrał się pisarz do urzęczywistnienia swych projektów. Jednak buncie życie towarzyskie, pomyt salonów i Klubu Myślowego znow zaczęły go opłatywać nieoptymny czarem i odrywać serce od artystycznych zamierzeń. „Część szlachetną moich zajęć pozostało w dalszym ciągu redagowanie *Biblioteki Warszawskiej*, a następnie czynności w Towarzystwie Zachęty do Sztuk Pięknych, którego w r. 1893 zostałem wiceprezsem, czyli prezesem z wyborów. Prezesem urzędowym był kurator warszawskiego okręgu naukowego, podówczas Apuchtin. Przekleństwo tego pokoleń Polaków spało na to nazwisko, zarówno jak na Jankulka, prezesa cenzury”.

Jako redaktor *Biblioteki* i prezes Zachęty walczył Weyssenhoff z jednym i z drugim, jak się pokaże niżej, bardzo skutecznie. Pierwszy przykład: Apuchtin.

IZA KUŹMIŃSKA

Miewalem z nim stosunki, jako właściwy kierownik instytucji, której on był z urzędu prezesem i dawałem sobie z nim radę, traktując go pogodnie. Moje wspomnienia o nim są raczej humorystyczne.

Przedstawiłem mu raz do zatwierdzenia reprodukcję obrazu Juliusza Koszaka „Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaajem”. Reprodukację przeczczaliśmy na doroczne premium dla członków Tow. Zachęty. Apuchtin spojrzal na przyniesioną przez mnie fotografię jak wół w aptekę. A był to z pozoru niby stary hreczkosiej, niedrańszej przez kulturę miejską. Nie umiał po francusku, po polsku mówić może nie

Zbierchowski, Maykowski i wielu, wielu innych. Jakaż szkoda, że znakomitej większości nazwisk nie dopełnia żadna charakterystyka. Bo same one mówią niewiele. Dopiero, gdyby Wasylewski zajął np. do rękopiśm autorów, których drukował „pod kreską” i odsłonił nam ich zawartość, pozór dawnego Lwowa ustąpiłby jego rzeczywistemu i głębokiemu obrazowi. Ale wówczas musiałby autor realizować ambitniejszy zamiar, niż „to co pamiętam”. Skoro jednak nie zechciał, cieszymy się tym, co jest: wszak już

chciał — trzeba z nim było gadać po rosyjsku. Rozmawialiśmy swobodnie „kurząc sigarki”. Spojrzal zatem i chociaż obraz Koszaka wisiał już dawno na wystawie „Zachęty”, zapytał:

— Co to takiego?

— Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaajem, epizod z powieści Sienkiewicza.

— Hm... — mruzczał i chrząkał dygnitarz, przeżyty swem posłannictwem. I oglądał z niesmakiem kontuszę, orły polskie na sztandarach, aż wystąpił z pomysłem:

— Po co wam zawsze ta treść historyczna (*eti istoriczeskije siużety?*).

— Obraz popularny — podoba się publiczności. — Dlatego wybrałmmy go na premium.

— Nu tak — ale zawsze historia polska. — Dalibyscie raz coś ogólniejszego... Daliby wy naprzykład... Wenerę? —

— Wenerę??!

— Nu, nie boginię, tak inną piękną kobietę.

— Ależ, panie kuratorze, kogo to obchodzi? I nie mamy odpowiedniego obrazu na wystawie. A ten jest aktualny z każdego względu: jako dzieło Koszaka i jako ilustracja do bardzo sławnej książki.

— Jaka to książka?

— „Potop” Sienkiewicza.

— Wot kak... bądź pan tak uprzejmy i przyslij mnie tę książkę.

Posłałem mu „Potop” zakreśliwszy w nim parę niewinnych ustępów. Apuchtin przekonany pozwolił na reprodukcję obrazu Koszaka.

Podobno ten bajeczny kurator, który w r. 1893 nie znał jeszcze Sienkiewicza i nie obejrzał obrazów wystawionych w gmachu instytucji, której niby przewodniczył — był z mojego urzędowania zadowolony. Od kogoś z jego otoczenia dowiedziałem się, jak się o mnie wyrażał:

— Teraz Zachęta idzie prawidłowo. Ot pierwaj był Wrotnowski, któremu ja zaleciłem ustąpić. Teraz wiceprezesem Weyssenhoff, jakis Niemiec — nic sobie — człowiek spokojny.

Moja „spokojność” była dość powierczona, gdyż zaraz na wstępie urzędowania zaskarżyłem postanowienie Apuchtina do ministra oświaty Delianowa. Wytłumaczyłem zaś Apuchtinowi, że inaczej postąpić nie mogłem, gdyż z takim mandatem imperatywym przyjąłem wybór na wiceprezesa przez ogólne zebranie członków Towarzystwa. Zatrągi Apuchtina z Lucjanem Wrotnowskim, moim poprzednikiem, doprowadził Apuchtina do „przyjęcia miar”: usunął Wrotnowskiego i wydal edykt, w którym przyznawał sobie prawo zatwierdzenia lub odrzucenia członków zarządu wybranych przez ogólne zebranie. Ponieważ ta innowacja sprzeciwiała się wyraźnie ustawie Towarzystwa, zaskarżyłem Apuchtina do jego władzy wyższej i pojechałem do Petersburga, aby osobiście oświadczył zatarg przed ministrem Delianowem, co mi mój kolega dorpaci Karol Czapecki przez swe stosunki ułatwił. Apuchtin wiedział o tem, ale nie rozgniewał się na mnie, ponieważ byłem spokojny, czyli towarzysko gładki. Proces zaś, przeze mnie raz zaczęty z kuratorem, chociaż trwał długo, został przez Towarzystwo wygrany.

JÓZEF WEYSSENHOFF

ten indeks nazwisk i tytułów, masa anegdot i strzępków biograficznych stanowi lekturę oryginalną i pasjonującą.

II

Innego typu publikację reprezentują *Gawędy o Warszawie* Franciszka Galiniego. Literacki tytuł kłóci się nieco z zawartością książki. Jest to bowiem zbiór nie gawęd, ale dziennikarskich artykułów. Przynależność do gazetowego gatunku prozy częściowo rozgrzesza autora rzekomych „gawęd” z szablonego, a miejscami pretensjonalnie upoetycznianego stylu. Wartość tej publikacji leży w całosci poza stylem, jest wyłącznie — przedmiotowa. Autor przedstawił w szeregu eszówic historię architektury Warszawy. Więcej nawet, cała przeszłość jej murów została utrwalona na kartach książki, co z kolei nadaje jej charakter nieocenionego przewodnika po dawnej stolicy.

Nawet nie zainteresowanego przeszłością czytelnika zajmą podane tu informacje. Kto np. wie, że plac Zamkowy został odsłonięty dopiero w r. 1818. Do tego czasu zajmowały go dziedzińce zamkowe: apteczny i stajenny. Albo: że Warszawa miała dwaście ratuszów. Pierwszy z nich stanął na środku rynku Starego Miasta w w. XV. Kto zna historię małych, cichych, nierządki zamurowanych już uliczek, takich jak: Ryerska, Kanonia, Dawna, albo też dawnych winiarni, obraz i restauracji: Pod Lewkiem, Pod Gąsiorkiem, Pod Sekimem. Taką np. ulica Pawia (w XVI w. Szynekarska) miała typowe nawnia dewocyjno-pijackie: wiechy, godła winiarni i oberż, chwiały się nad rzęzbami świętymi, nad św. Łazarzem i św. Marcinem.

Cukierniki i kawiarze z tej druga połowa XVIII w. Zachwalana „Wiejska Kawa”, „Pod Kopcuzkiem”, a wreszcie słynna „Honoratka”, gdzie gościł Mochacki, Goczyski, Wysocki, gdzie spiskowały krzyżczeli: „precz z Chłopiakiem, niech żyje dyktator Lelelew!”, „Szalone dni” Warszawy znalazły dotychczas „piewów” tylko w marlarzach. Rysunki Fr. Kostrzewskiego i St. Waszewskiego (z reduktu, balu, ogródków, knajp, Alej) wprost dopominają się o dickensowską opowieść. Galiniego podaje adresy, gdzie odbywały się maskarady, gdzie tańczono do upadłego — na owoch „Złotyeh Salach”, „Pod trzema Koronami”, i ... jego skrzętne i obfite wyliczenia powinny skusić pisarzy, smakujących w urokach dawnej owarzyszności. Bo materiał w *Gawędach o Warszawie* jest wielostronny, „Kwiciasty maj” wypędał sfery mieczaznie do „Laska na Cystem”, w Aleje Ujazdowskie, które jeszcze do połowy XIX w. stanowiły parso ogródków, u zbiegu Al. Róż i ul. Piusa XI przechodzące w pustkowia, należące do wsi Ujazdów. Elita towarzystwa warszawskiego jeździła na spacerach w powozach, faetonach, landach i piętrowych brekach. Najczęściej na Bielany, także na pole wyszkie. W le lub do ogródków: na Antokol, do Zaczęca, do Doliny Szwajcarskiej. Tu sprządzało no co rok za granicy słynne orkiestry.

Z potoku informacji wydobylmmy nie które, bardziej może błyskotliwe, wcale jednak nie cenniejsze od przemiłnych. Pożyteczne są wszystkie — podane starannie i z drobiazgową dokładnością budzą zaufanie, jak rzetelne i wyczerpujące źródło historyczne. Wymowę tej publikacji pogłębia blisko dwadzieście fotografii i rysunków.

A jednak, zamykając książkę Galiniego, pomyślny może z żalem, że o dawnej Warszawie napisał właściwie jak gdyby jej kustosz, który ograniczył się do inwentaryzacji miejsc, dat, przedmiotów i faktów, który dał wprawdzie wspaniały przewodnik z indeksem rzeczy, ale przecież nie oceniłony ze stanowiska architekta, plastyka i historyka kultury, wyliczył zbiór tradycji o byczajowych, ale znow bez komentarzy i uogólniających perspektyw socjologia i historia. Brak ten jednak nie pozbawia wartości książki Galiniego. Jego praca odznacza się wyraźnie określonym zakresem. I może przez to właśnie przypomina nam natarczywie o innych, zaniebanych zakresach badań nad dawną Warszawą — przede wszystkim nad stylem architektury ubiegłych wieków. Wszak wciąż jeszcze pozostaje np. sprawa otwarta chociażby zagadnienie stosunku stylu mieszczańskiego do szlacheckiego w architekturze Warszawskiej.

JAN ALEKSANDER KRÓL

¹ FRANCISZEK GALINSKI: *Gawędy o Warszawie*. Wyd. Biblioteka Polska. Warszawa 1937. Str. 376.

KAROL IRZYKOWSKI

PRZEMIANY ALTRUIZMU

Autorka tego zbioru nowel i opowiadań wystąpiła w zeszłym roku z powieścią *Miłość i praca*, o której pisałem w *Pionie*. Powieść była jeszcze nie dociągnięta, ale te rzeczy drobniejsze stoją na wysokim poziomie i koncepcji i wykonania. Uroczniczenie tematów jest wielkie, stylu — mniejsze, jednak owe rozmaitości nie są rozpraszaniem, lecz poszukiwaniem drogi, która — jak się zdaje, i jak to odpowiada nowemu duchowi czasu — prowadzi od bezstrasnego cieśnienia się barwnymi kształtami życia do zainteresowania się zagadkami psychologicznymi i filozoficznymi, od opisu do myśli.

Z tego, dawniejszego zapewne, repertuaru dwie nowele szczególnie się wybijają: *Klusownik* i *Ogień*, opiewające grzeszną i namiętną miłość, której scenariusz są pola zarosłe lubinem lub stajnią. W *Klusowniku* gorący i ukradkowy czyn kontrastuje doskonale ze spokojnym krajobrazem wsiowym, np. wieczornym, kiedy to krowy wracają do domu. — Kontrastuje i rozplywa się w nim, jak na obrazie impresjonistycznym. W ogóle tym, co Dąbrowska naprawdę i niezawodnie umie, jest spostrzeganie i nazywanie rzeczy zmysłowych, odczuciem, w ich istycie, — jest sensualistką. Dlatego najbardziej udanymi utworami w tym zbiorze są *Podwójna droga* i *Studnia*. Pierwszy opisuje jazdę saniami w zimie, przepętaną wciąż rozpamiętywaniami miłosnymi, w ten sposób, że przyroda służy za konfrontację i za symbol uczuć; np.: „Piękność tego lasu przechodziła nieuczuciecznie jak dźwięk. Istniała jednolitwie, radość oczu, i mijała jak sześćście naszej miłości”. Albo: „Tam to ciemną cyną leżał potok i nad nim stał samotny dom — jak ten dom, którymś nigdy opuścił, aby się rozstać”. Użycie kursywy w tekście podkreśla te wlotowe miejsca niby refren, — jest to bdnowa liryczna, dlatego nazywam całość nie nowelą lecz utworem. *Studnia* opisuje oczekiwanie wsi jugosłowiańskiej wśród posuchy na deszcz, który ostatecznie przychodzi. Z nibyreportażu robi się piękny utwór, w którym spokojnie i naturalnie narasta nastroj i rozładowuje się z deszczem, niby konsekwencją ukrytą w założeniu. Do mistrzostwa brak temu utworowi przecież jakiejś kropki nad i; może zbyt szczegółów, które się tylko widzi, przynajmniej sama dynamika zdarzenia.

Bardziej anegdotyczny charakter mają nowele *Podczas choroby*, *Dzwonek śmierci*, *Szofer* i *pan oraz Cudza śmierć* — te dwie ostatnie z motywem homoseksualnym, podany nie tak jak to robi Zwiąg, lecz z iwaszkiewiczowską dyskrecją. Ale bo też wcale nie strona seksualna wypadków zajmując autorkę, traktuje ona takie stosunki między mężczyznami jako coś normalnego, natomiast np. w *Cudzej śmierci* obiera sobie zadanie inne, sztuczne i niemożliwe. Rzecz jest taka. Jest małżeństwo, Hieronim i Ludwika, ale Hieronim ma koneszachtę czy stosunek z jakimś tajemniczym brązowym mężczyzną; ofiarą ich pada Ludwika, zamordowana przez jednego z nich lub przez obu. Wszystkie te wypadki obserwuje jakiś obcy, kochający się w Ludwice, jednak nie usiłuje im zapobiec, jest fatalistą, — natomiast chce być niejako świadomością faktów, które się przed nim rozgrywają, więc: „Jeżeli ona umrze, ja wziąłem mękę konania”. „Ja mam w udziale to, co jest świadomością wobec tamtej strasznej rzeczy, — postać. Czy to nie jest większy trud niż po prostu umrzeć”. I tak dalej, aż w końcu: „Obarczony zostałem trudem zgody na ten fakt, że ktoś może umrzeć, przestać być”. Bardzo wygodny i zarumianujący jest ten jęgomość: inni umierają, a on robi do tego „postawę”. Strasznie zakompirowana jest tu wszystko, niczym Awangarda, choć o niezrozumiałostwie nie ma mowy. Wyruszają się różne odsyłacze, jak słowo „tamtam”, i do innych utworów także przechodzi jako nalógowe już tajemniczość, czy metafizyczność.

Jest pewna amoralność w zachowaniu się owego „ja” z *Cudzej śmierci*. Trzeba oczywiście rozróżnić: amoralność, nie antymoralność. Autorka ma w tej amoralności pewien udział, stosując akcent z kryminalnej niejako strony zdarzenia na uczuciową, na sentymenty i kombinacje myślowe opowiadającego. W kobiecych pisaninach taka objętność często się trafia i to się wiąże z ich filantropią. Tak jest np. w *Nalkowskiej Scianach śniata*, *Dniu jego poroturo* — zbytnia pobłażliwość, *désintéres-*

sémité wobec grzechu. Mężczyzna pisze inaczej; nawet gdy jest „immoralistą” jeszcze jest moralizatorem, bo jednak, mimo wszystko, on chce świat jakoś urządzić, zmienić. Kobieta pisze albo wyczuwa albo smakuje, estetyzuje. Oczywiście jest między obu sposobami pewna wspólna platforma: gdy chodzi o zrozumienie grzechu, wczucie się w niego, ale i wtedy cel męski jest inny niż kobiecy.

Tu przechodzę do dużej grupy nowel Dąbrowskiej, które mają charakter filantropijnny, humanitarny. Autorka ta już dawnie w tym gatunku pracowała, będąc wówczas pod wpływem Żeromskiego, więc na pierwszym planie stawała altruizm, miłość społeczną. Litujcie się nad biedakami, wspierajcie ich, bo oni są... biedni. Nowe nowele Dąbrowskiej z tego działy nie są już biedackie, „klasowe”, są studiami, psychologicznymi, socjalnymi. *Robot* opisuje losy doskonale, pedantycznej urzędniczki, którą zredukowano, po czym się otrula. Myślałby kto: wiemy, to wina „ustroju”. Autorka nie obwinia jednak ustroju, raczej żeluzi w ogóle kogo obwinia, to ją sama, te nieszczęsna, która się pysznila, że jest dobrą maszyną. Ciekawe. Niegdyś Daniłowski napisał podobne studium *Pan Żaba*, nowela Dąbrowskiej jest okrutniejsza. Na tragedie ludzi porzecznych nie pomoże żaden ustrój. Inne studium *Ta druga* (podtytuł skromny: raport psychologiczny) analizuje charakter ubogiej grafomanki, która dla dogodzenia swej ambicji dochodzi do kłamstwa do oszustwa, do kradzieży, i dostaje się do więzienia. Refleksje autorki: „Ile tragizmu w powołaniu — bez talentu... Jakże osądzić tak wypaloną a jednak boską potrzebę, żeby być kimś lepszym, większym nad siebie samą?!” Litość wyrażana, bo jednak grafomania nie musi doprowadzać do przestępstw. I jeszcze raz zastanawia się autorka nad zagadnieniem wyci w studium *Kim ona była?* — czy Władzia była dobrą, miłą, kochaną przez wszystkich dziewczyną, czy złodziejką. Czyśto altruizm jest w dawnym stylu jest *Nad rzeką* — i tu jak w poprzednio wymienionych nowelkach rozstrzygającym faktem jest beznadziejność sytuacji.

Do noweli *Jej Bóg* snadź przywiązuje autorka największe znaczenie, skoro od niej zatyłowała swój zbiorek. Bogata chłopka Pelagia przeżywa niejako ontogenezis różnie sposoby odnoszenia się do Boga, w miarę tego, jak przeżywa szczęścia i nieszczęścia. Wiązać ma z nim porachunki. To się jemu poddaje, to jest mu obojętna, to nawet wynosi się ponad niego, gdy czuje się matką, więc również stworzyć cięka; zawiera z nim pakt, chce go przekupić, żeby narodziła się córka, lub żeby dziecko było zdrowiało, złorzeczy mu za niesprawiedliwość, gardzi jego wszechmocą, przypisuje mu straszną obojętność, aż w końcu po wymarciu podczas wojny całego potomstwa, po katastrofach, jako żebraczka, uznaje Boga zrezygnowanego, poddającego się pod niezbadane losy, Boga w postaci tego krzyżo przydrożnego na skraju wsi, który to warzył się jej perpetuum religijnym przez całe życie. To jest bardzo dobrze pomyślana, a jednak w wykonaniu czegoś brakuje; czy te przemiany Pelagii są zbyt liczne i zbyt schematyczne, czy że się nie wierzy w takie jej filozofowanie, czy że strona rozumowa wysuwa się na pierwszy plan.

KAROL IRZYKOWSKI

UKSIĘGARZY

Ruchliwa księgarnia wydawnicza p. f. „Rój” rozpoczyna sezon jesienny całym szeregiem nowych książek. Oto najważniejsze pozycje:

W serii pisarzy polskich ukazał się następujące dzieła: Marii Kuncewiczowej *Dni poszednie państwa Kowalskich* (powieść radiowa), Poli Gojawczyńskiej nowela pod tytułem *Dwoje ludzi*, Sergiusza Piaseckiego nowa powieść *Pięty etap*, wreszcie niesamowita historia powtórnego przymusowego dzieciństwa, opisana przez naszego rodzimego E. T. A. Hoffmana, Gombrowicza, pod tytułem *Ferdynand*.

Z wydawnictw nieheletrystycznych za notowane należy przede wszystkim pracę znakomitego nauwy dawnego romansu polskiego, prof. Juliana Krzyżanowskiego, zatytułowaną *Od średniowiecza do baroku*.

Poza tym ukazał się: Mariana Piechala *rzecz o Norwidge*, prof. Jana Bystronia *Lańcuch szczęścia*, wreszcie Strachey'a bio-

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

„NAUKA POLSKA”

Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój. XXII. Wydawnictwo Kasy imienia Mianowskiego, Instytutu popierania nauki. Warszawa 1937. Str. IX, 433 i 4 nłb.

„W nasze życie nowoczesne, bogate, nieokreślone, żywiołowe, musi wejść ścisła nauka, jako regulator i kierownik. Ona to jedynie może nam dopomóc, ażebyśmy z miązi bufnej, lecz złupionej przez najeźdźców, starganej przez złą uprawę, sponiewieranej przez jawną głupotę, skłóconej o tyle co lub nagim ugiem leżącej, mogli rozpocząć planowe budowanie nowej treści wewnętrznej, nowej szerokości i bujności ducha, świadomej, czysto narodowej, własnej, na najlepszych i niewątpliwych osnutę doświadczeniach, które nasz naród już posiadał i z jego pomocą jedynie zdolamy nowe odnaleźć. W wolnym państwie polskim nauka nie może być wyżebrana, podpatrzona, przemycana, musi być polska. Nauka — to przecież, wysokie jezioro w górach, niebiosza nieskończoności odbijające, musi być nasze, własne, ojczyste.” Te słowa Stefana Żeromskiego, które ten wielki poeta kultury sformułował dla Kasy im. Mianowskiego, z najlepszym też uzasadnieniem mogłyby być użyte jako motto tytułowe czasopisma *Nauka Polska*, wydawanego nieperiodycznie od roku 1918 pod redakcją Stanisława Michalskiego. Czasopismo to bowiem stało się istotnie twórczym organem polskiej kultury naukowej. I właśnie ten jego wybitnie twórczy charakter sprawia, że zaciekawia ono nie tylko świat uczonych, których żywotnym zagadnieniem teoretycznym i organizacyjnym jest poświęcenie, lecz w równej mierze także szersze koła kulturalne. Każdy nowy tom *Nauki Polskiej* jest doniosłym zdarzeniem wydawniczym, które już nie może być przeoczone przez nikogo, komu są nieobojętne zagadnienia i sprawy kultury umysłowej. Wystarczy się zapoznać chociażby z jednym tomem tego wydawnictwa, aby stać się jego stałym i pilnym czytelnikiem.

Dział rozpraw XXII tomu *Nauki Polskiej* rozpoczyna rzecz Stanisława Ossowskiego: *Nauki humanistyczne a ideologia społeczna*. Nawiązując do rozprawy Bogdana Suchońskiego: *Badanie i nauczanie*, zamieszczonej w poprzednim tomie *Nauki Polskiej* (obecnie przedrukowanej w tomie p. t. *Uspolecznienie kultury*), Ossowski zajął się zagadnieniem zależności pomiędzy tendencjami społecznymi a pracą naukową humanisty. Rozróżniając cztery zasadnicze postawy badacza wobec nauki: estetyczną, utilitarną, perfekcjonistyczną i religijną, zastanawia się obszerniej nad postawą utilitarną, czyli związaną z myślą o pożytku społecznym, przez co postawa uczonoego humanisty zbliża się do postawy działacza społecznego. Moment ten występuje zwłaszcza w dziedzinie nomotetycznych nauk o człowieku i społeczeństwie, jak psychologia, socjologia, antropologia społeczna i ekonomia polityczna. Zdarza się nawet, iż „rozdzielenie pomiędzy badaczem i działaczem jest trudne do przeprowadzenia nie tylko ze względu na metody pracy jednego i drugiego, ale przede wszystkim ze względu na postawę psychiczną jednego i drugiego wobec własnych zadań. U wybitnych działaczy społecznych spotykamy aspiracje naukowe, u naukowców — aspiracje społeczne”. Otóż wydaje się, że ten pogląd Ossowskiego, zastosowany przez niego głównie tylko do jednego działy nauk humanistycznych, dało by się rozszerzyć na inne działy nauki i również na sztukę. Po-

śmiertnie wydana *Prawda życia* J. M. Rozwadowskiego otwiera pod tym względem rozległe i głębokie perspektywy myślowe. W zastosowaniu jednak do tematu omawianej rozprawy Ossowskiego istotną zagadnieniem tkwi przede wszystkim w typie psychicznym człowieka. Było by więc przedmiotem godnym uwagi typologiczne zbadanie pokrewnych sobie konkretnych osobowości twórczych z rozmaitych dziedzin nauki, sztuki i polityki. Badania takie, częściowo już zresztą podejmowane, doprowadzić powinny do bardzo istotnych wyników psychologicznych i socjologicznych. Przynieś one też mogą pewne wskazania natury praktycznej w oświeceniu wzajemnego powiązania przyczyn i skutków pomiędzy typem twórcy w nauce, sztuce lub polityce, a jego dziełem albo czynem.

W dalszym ciągu omawiany tom *Nauki Polskiej* zawiera rozprawę Szczepana Szczepanińskiego: *Wpływ fizyki na rozwój kultury dzisiejszej*. Uwydatniona tu została ważna rola nauk ścisłych, a zwłaszcza fizyki, w kształtowaniu się nowoczesnego poglądu na świat.

Doniosłe znaczenie „życiowe” mają uwagi Jana Rutkowskiego: *O podniesienie poziomu naszej twórczości naukowej*. Autor wskazuje ujemne cechy twórczości naukowej w tak nazwanym kryzysie nadmiaru, będącym jednocześnie kryzysem jakości, i stanowczo występuje przeciw inflacji tandety. Jest to ostrzeżenie, które w chwili obecnej stało się szczególnie aktualne. Aby należycie docenić powagę położenia, wystarczy choć pobieżnie zwrócić się w treści naszej produkcji naukowo-wydawniczej. Hełz to np. niepotrzebnie zadrukowanego papieru zużywa się na rozmaite prace magisterskie itp., z których ledwo niektóre powinny być publikowane w całości, znaczna zaś ich większość zasługująca na uwagę co najwyżej w krótkich streszczeniach. Tymczasem często się zdarza, że skąpe środki finansowe wybijają marnowane na publikację zbyteczne, zadawające tylko ambicje autorskie, a pomnażające stopy materialne. Totem powołane do tego czynnikowi powinny zwrócić baczną uwagę na dalej zresztą zmierzające wnioski prof. Rutkowskiego, który środki zaradcze na usunięcie zakorzenionych już błędów wskazuje w odpowiedniej polityce celowo i racjonalnie zorganizowanych instytucji naukowych.

Dział rozpraw XXII tomu *Nauki Polskiej* dopełniają: zwięzła praca monograficzna Marii Danilewiczowej: *Życie naukowe dawnego liceum krzemienieckiego*, artykuły Stefana Stasiaka: *Nieco o nauce indyjskiej dawniej i dziś* i Artura Górskiego: *Nauka niemiecka (na marginesie odczytu Kurta Hildebrandta)*. Szersze zainteresowanie budzi zwłaszcza artykuł Górskiego, zakończony takim wnioskiem: „Bez wewnętrznego stosunku do narodowej woli duchowej można napisać sumienne metodyczne dzieło dzieło o Reju, a potem o Buddzie, a jednak będą to utwory, mimo erudycji, martwe, chłodne, zdeorientowane i dezorientujące. Te proste, jasne i ważne prawdy domagają się i u nas szacunku. Powiedzy wyraźniej: zwłaszcza u nas, — od uniwersytetów poczynając.”

W obszerniej kronice polskiej odrębną uwagę zwraca artykuł prof. Michała Śliedzieckiego: *Potrzeby nauki polskiej w zakresie badań morza*. Kronika zagraniczna докладnie informuje o bieżących zagadnieniach życia naukowego w Europie i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Osobno omówiono „początnia międzynarodowe”. Bogaty, jak zwykle, dział recenzyjny przynosi rzeczowe wiadomości krytyczne o wydawnictwach polskich i obcych z zakresu teorii i ruchu naukoznawczego. Pokazany a treścią swoją żywo zaciekawiający tom zamyka ciąg dalszy bibliografii nauki polskiej za lata 1932—1934. Z tego powodu nasuwa się dezzyderata, aby dział bibliograficzny *Nauki Polskiej*, chociażby kosztem pewnych ograniczeń, był doprowadzany stale do końca roku poprzedzającego rok wydania danego tomu. Zyskałaby na tym wiele podręczna użyteczność tego bardzo potrzebnego działu.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Odpowiedzi Redakcji

Godło „Morwan” — Nowela pt. *Drut* została zakwalifikowana do drugiego czytania.

Godło „Jacek” — Nowela pt. *Ostatnia porażka* została zakwalifikowana do drugiego czytania z warunkiem nadesłania do dn. 20 września kolejnego koperty opatrzonej godłem a zawierającej wewnątrz nazwisko i adres autora. W przeciwnym razie nowela zostanie wyeliminowana z konkursu.

¹ HALINA MARIA DĄBROWSKA: *Jej Bóg*. Warszawa, 1937. Nakładem F. Hoiesicka.

PRZEGLĄD PRASY PĄŁKA NA DRĄGI OBURZONA

Bajka bardzo przejrysta

Ostatni numer czasopisma *Muzyka polska* (zeszyt VII—VIII, za lipiec i sierpień b. r.) wydawane przez Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej poświęcony jest zagadnieniom muzyki współczesnej. Dr. J. M. Chomiński przedstawia ewolucję współczesnej harmoniki; K. Régamey charakteryzuje dążenia artystyczne naszych kompozytorów na te prądy europejskiej; J. Walford pisze o problemie słuchacza; S. Kisielewski próbuje określić współczesny, rodzący się styl muzyczny; A. Panufnik ogłasza refleksje i uwagi n. t. zagadnienia abstrakcji w muzyce współczesnej. W końcu Michał Kondracki zdaje szczegółowe sprawozdanie z tego rocznych festiwalów muzycznych w Paryżu.

Ten zeszyt *Muzyki polskiej* stanowi niezwykle zajmującą i pouczającą lekturę nie tylko dla muzykologów, muzyków i miłośników tej szlachetnej sztuki, lecz dla każdego, kto pragnie poznać dążenia artystyczne doby obecnej, uchwytać jakiś ład, jakiś prawo w rozproszonych wysiłkach działających współcześnie, a nie o sobie wzajemnie nie wiedzących jednostek i grup. Tak np. Konstanty Régamey w swym studium *Muzyka polska na tle współczesnych prądów* wskazuje na doniosły wpływ Szymanowskiego (antyrromantyzm, silny związek z prądami nowoczesnymi, wprowadzanie folkloru) i Paryża (tu analogie z malarstwem, mniejsze z poezją). Francuzi za pośrednictwem Szymanowskiego nauczyli muzykę polskich szacunku dla doskonałego „rzemiosła muzycznego”; „stakiego opowiadania (technikę muzycznej, by osiągnąć kolorystykę i przejrystość brzmienia, jasność konstrukcji, nieskazitelność budowy polifonicznej z zupełną swobodą, by umiejętnie nie nie obciążać utworu, nie wydostawały się na pierwszy plan, ale były całkiem naturalne i niewymuszane”. Młodzi muzycy polscy płyną między Scyllą bezdusznego neoklasycyzmu a Charybdy zabarwionej mistycznie pseudo-sztuką, sięgając do „próżdża” rasy i duszy. Rzecz znamienna, że w poczciwej polskiej konflikt ten trwa z niewygasłą siłą (autentyzm — parnasizm europeizm); w muzyce natomiast dzięki wpływowi Szymanowskiego i Paryża niebezpieczeństwa są już wyminięte, i w niektórych utworach („Poemat żalobny” Woytowicza, „Kwartet” Palestra, „Koncert na dwa fortepiany” Maciejewskiego) zarysowuje się, zdaniem Régameya, nowy, samostylny styl polski.

Miesięcznik lubelski *Prąd* w systematyczny sposób zapoznaje nas z reprezentacyjnymi postaciami współczesnej kultury francuskiej. Referowaliśmy już na tym miejscu ogłoszoną na jego łamach dyskusję o Mauriacu i studium J. Dobraczyńskiego o Bernanosie, które ukazało się również w odbite. Ostatni, podwójny zeszyt *Prądu* (za lipiec—sierpień b. r.) przynosi dwie dalsze prace z tego zakresu. W pierwszej Helena Radziukinas charakteryzuje poglądy P. Valéry'ego na sztukę, posługując się oficie cytowanymi z pism autora *Młodej Parki*. Niektóre cytaty są bardzo ładne; np. o tancerce: „Zdaje się żyć zupełnie swobodnie w elemencie podobnym do ognia, w żywiole bardzo subtelnej muzyki i ruchu, w którym oddycha niewyczerpalną energią, podkreślając jednocześnie całą swoją istotą czystą i bezpośrednią gwałtownością najwyszczególniejszą”. Inne są nawet głębiej i mądrze; np. szczyt sztuki: „chodzą naturalnie na szczyty jakie się osiągnęło”. Albo: „Pragnienie prostoty w sztuce staje się zabójcze zawsze, kiedy uważa się za dostateczne i kusi nas do uwolnienia się od jakichś trudności”.

W tymże numerze, na dalszym miejscu, autor, osłaniający się inicjałami M. K., charakteryzuje „rolę mistycyzmu w dziejach ludzkości według Bergsona”. Artykuł ten jest referatem z przedostatniej, znanej książki francuskiego filozofa o „dwóch źródłach religii i moralności”. Przeciwnością w religie Bergsona religii „zimnej i statycznej” jest religia „dynamiczna”. Te wiary wyznaje „duża otwarta”, nie zasklepiająca się w granicach izolowanego „ja”, lecz w akcie miłości mistycznie obejmująca całą ludzkość jednym niepodzielnym umiłowaniem”. Przez proste rozszerzenie sfery działania jednostka nie jest zdolna do ukochania wszystkich ludzi — co najwyższej roszczy i swojej społeczności. Tylko w doświadczeniu mistycznym przez Boga może człowiek wnieść się na wyżyny tej uniwersalnej miłości.

Autor artykułu krytykuje stanowisko Bergsona ze stanowiska prawnie katolickiego; przypisuje jednak myśli autora *Les deux sources* wielkie znaczenie, genialność równorzędną genialności Platona, Arystotelesa i Kanta.

Nowy zeszyt *Przeglądu Współczesnego*, za sierpień i wrzesień, przedstawia wielki, blisko trzystustronicowy tom dużego formatu. Czytając go odbywamy daleką podróż w czasie i przestrzeni: ze starożytnej Grecji poprzez szekspirowską Anglię do Bośni i przedwojennej Galicji, gdzie zawieramy znajomość z bardzo ciekawą postacią polityka i społecznika Mikołaja Żybkiewicza (w pięćdziesiąt rocznicę jego śmierci). Na pierwszym miejscu bogatego zbioru wydrukowano słusznie dwa piękne listy Orzeszkowej. Oba pochodzą z roku 1905, z czasów rewolucji, w której odgłosy stara już pisarka, żyjąca wówczas w Grodnie w zupełnym prawie osamotnieniu, wsłuchiwała się z lękiem i niepokojem.

Miłośnikom Prousta, których obecnie jest w Polsce wielu, trzeba zwrócić uwagę na piękny portret psychologiczny tego pisarza, który narysowała w *Przeglądzie* Józefa Kowalska. Miłośnicy Szekspira zaś z niemalym zainteresowaniem i korzyścią przeczytają zainteresowanie prof. Andrzeja Tretiaka z literatury szekspirowskiej ostatnich lat. Prezentuje się ona bardzo bogato pod względem ilościowym, ale obfituje głównie w diawa. Kierunek historyczno-socjologiczny, traktujący Szekspira jako „literata”, pracującego dla „swojej” publiczności i do jej wymagań się dostosującego, utracił stanowisko kierownicze; obecnie krytycy wolą opowiadać swoje wrażenia z lektury i snuć oryginalne, czasem aż nazbyt oryginalne pomysły interpretacyjne. Taki J. M. Murry uprawia dość grubą psychologizm; twierdzi np., iż budowanie domu w *Henryku IV* związane jest z kurzem domu w *Stratfordzie*; blazen z *Wieczora trzech króli* to sam poeta, niezadowolony ze swego stanu i t. d. i t. d.

Poza sprawozdaniem i krytyką artykuł prof. Tretiaka przynosi też refleksje osobiste autora, rzucane na marginesie, a nieraz bardzo głębokie i piękne. Np.: „W ogóle *Hamlet* to apogeuem sztuki aktorskiej. Aktorstwo, — czynność, która nie jest czynnością, a tylko gestem, — jest najdokładniejszym pendantem do „nieczynności *Hamleta*” przedstawianej przez działanie (naturalnie sceniczne), działanie, które zawiera w sobie element udawania i to nie udawania innej osoby, ale innego stanu swej własnej indywidualności — i dalej jeszcze — udawania, które przestaje być udawaniem, a jest rzeczywistością innego stanu apercepcyjnego z rzeczywistością swoisic”. Dlatego *Hamlet* jest ulubioną rolą wielkich aktorów.

Wielbiel prof. Chwistka cieszą się z jego ostatniego artykułu o „kulcie geniuszu” (bardzo ostro krytykującego ten kult), napisanego z wielką wprawą i z jego szczególną nonszalaną w przetracaniu konwencjonalnych perspektyw historycznych, która wywołuje przyjemny lekki zawrót głowy czytelnika.

Zgodnie z przewidywaniami, wypowiedzianymi na tym miejscu, artykuł Hieronima Michalskiego o potrzebie stworzenia nowej antologii naszej poezji współczesnej nie przeszedł bez echa. W *Czasie* z dnia 5 września zabrał głos w tej sprawie Ludwik Fryde, polemizując w wielu punktach z Michalskim. Fryde wysunął koncepcję antologii, różnej od pospolitego typu kompendiów historyczno-informacyjnych: „antologii jako surowego obrachunku, antologii — jako *śladu*”. „Nowa postawa wobec kultury zmienia gruntownie perspektywę zjawisk literackich: uchwycić tę nową perspektywę i stać na zdecydowanym i mocnym stanowisku ideowym pokazać na różnych planach etapy rozwoju poezji w latach 1918 do 1938 — oto zadanie godne krytyki walczącej”.

Dyskusja na tak interesujący i żywny temat zapewne nie jest jeszcze rozwinięta. Tu chcielibyśmy jeszcze zwrócić uwagę na zajmujący pomysł praktyczny Frydego. „*Niechaj Państwo Wydawnictwo Książek Szkolnych rozpisze konkurs na projekt antologii współczesnej poezji polskiej*. Projekty najlepsze będą mogły być wyzyskane w całości lub w części”. Pomysł godny wprowadzenia.

W pewnym wytornym ogrodzie wyrosła pąłka. Zrazu niedarna i niezgrabna, rychło pokryła się bujnym listowiem. Kto raz dotknął się jej listeczków, przekonywał się, że kłują one jadowicie i napastliwie, lepiej więc było pąłką z daleka obchodzić w nadziei, że niezaczepiana może się ustakować. Działo się inaczej. Ośmielona pąłka pokrywała się coraz nowymi i coraz gęstszymi liśćmi, których imiona były rozmaite. Najczęściej: napastliwość, brutalność, arogancja, tupet, nahałość, arbitralność, grubzy dobor słów, wszewchwieza do cwipcu, nietykalność własna, przekąsanie o glupocie wszystkich prócz kilku kwiatków z prywatnego ogrodu pąłki, i bardzo wiele innych listeczków, które nie posiadały wprawdzie osobnych nazw, ale w swoim zakroju tylko na palce oberwane były przez ogrodników.

W kraju, gdzie kwitł ogród pąłki, znajdowały się również inne ogródki. W tych ogródkach zakielkowały małe, maleńkie drażki. Nieśmiałe, nadraza tylko listkiem pewności siebie i zabrakniaminą okryte. Mijały lata i z drażków zaczęły wyrastać wielkie i pospolite drażki. Co ciekawe, drażki poczęły się pokrywać liśćmi bardzo podobnymi, nieraz całkiem takimi samymi, jak pokrycie pąłki pierwotnej. Brakło im przeważnie wszewchwiezy do cwipcu, ale za to w kompletach zupełnie dorównujących ulistowaniu pąłki powyrastały napastliwość, brutalność, arogancja, tupet, nahałość, grubość dobor słów, nietykalność własna.

Drażki bowiem szybko spenetrowały, że pod kłującą i dotkliwą szatą tych listeczków bardzo wiele przemycić można sprawkę, jakie bez niej byłoby pospolite, nudne, jednostajne. I stało się, że pewnego poranku drażki podrażnione niepoprawnością pąłki rzuciły się na nią całym tłumem i nuż ją smagać, kłuć, dokuczać tymi wszystkimi listeczkami, które na drażkach za wzorem pąłki powyrastały. Oburzona pąłka poczęła wykrzykiwać, że drażki dotkliwie ranią ją li-

steczkami, których monopol sobie wstawiała, zgorzyla się, że takich metod używa się wobec niej, zapomniały wśród razów, kogo to drażki naśladują. Było to widowni wiele zabawne i wiele pouczające, albowiem pąłka używała wówczas mównicy kanonickiej, że ginie poezja, kultura, ponieważ ginęła jej wolność wymyślania.

Cóż było robić? Pąłka tak szpetnie własnymi sposobami pokarana zaczęła z wolna tracić listeczki, którymi ozdobiła się drażki. Musiała to zrobić, ponieważ drażki były zbyt wiele, by pokonała je bronią, którą drażki nie gorzej od niej władały. Ronita pąłka przyrodzone listeczki tym spokojniej, że w rezerwie zachowała jeden listek, który jej słusznym zdaniem nie był udziałem drażnego z drażków, niesłuszny zaś jej zdaniem rozgrzeszał wybrki pąłki. Listek ten zwał się talentem. Żył wówczas wprawdzie pewien siwobrody i lepsze czasy pamiętający ogrodnik, któremu ten listek tkwił kolcem w oku, tak że uporczywie tepił jego nadużywanie, niewiele jednak zdziałał, jako że rosło wówczas zbyt wiele drzew, które pustkę konarów tym listkiem pokrywały.

Lecz pąłka zawiodła się w swoich nadziejach. Niebawem okazało się, że listka zwanego talentem nie można odłączyć od listków niesławnych, już dwukrotnie z nazwiska wymienianych. Ze listki te łączą głębsze powinowactwa, aniżeli palce się wydawało. Że po prostu talent posiadała pąłka tylko w posługiwaniu się tą resztą liści, jaka porzucić musiała, tak że listek talentem nazwany sechł i mariał w braku towarzyszy. I do tego doszło, że po czasie niejakim z pąłki zostały nagie konary, ozdobione jedynym listkiem przekąsania o własnym talencie, którym pąłka nieśmiało szemrała wśród coraz bujniejszego lasu drażków.

Od tej to, moje dzieci, historii wzięło początek przysłowie, jakie dobrze znacie: kto pąłką wojuje, ten od drażki ginie.

KAZIMIERZ WYKA

KONKURS „PIONU”

Pierwszy, eliminacyjny, czytanie nowel zostało zakończone. Z nadesłanych na konkurs 975 nowel do drugiego czytania zakwalifikowano około 10%.

Odpowiedzi na pytania w sprawach konkursu udzielać będziemy wyłącznie na łamach „Pionu”. Zapytania należy podpisywać godłem i tytułem noweli a nie nazwiskiem. Informacji listownych ani telefonicznych udzielać nie będziemy.

Poniej podajemy spis nowel zdyskwalifikowanych, których rękopisy nie zostały dotychczas odebrane. Rękopisy te są do dyspozycji autorów. Przypominamy, że celem odebrania rękopisu należy przesłać do redakcji znaczki na przesyłkę pocztową.

Godło „Abdank” — Tytuł: <i>O cudzym szczęściu</i> .	Tytuł: <i>Ani tu — ani tam</i> (p. Salomea W., Warszawa).
Godło „Grzymala” (p. A. Z. W., Wilno) — Tytuł: 1) <i>W imieniu prawa</i> , 2) <i>Rozbity motocykl</i> .	Tytuł: <i>Bezrobotny</i> (p. Jan N., Cyryn).
Godło „Kanadyjka” (p. Józefa Ch., Chelm Lubelski) — Tytuł: <i>Spotkanie</i> .	Tytuł: <i>Golgota kobiety</i> (p. Sala D., Rzeszów).
Godło „Krystyna” (p. Gabriela P., Warszawa) — Bez tytułu.	Tytuł: <i>Jontek-Znajda</i> (p. Zygmunt G., Gdynia).
Godło „Lech” (p. Stefan S., Chelm Lubelski) — Tytuł: <i>Śmiertelny wysięg</i> .	Tytuł: <i>Milosc czy flirt</i> .
Godło „Limba” (p. Genowefa B., Nowogródek) — Tytuł: <i>Kismet</i> .	Tytuł: <i>Ostatni lot</i> (p. Roman G., Pabianice).
Godło „Mizo” (p. Zofia M., Lwów) — Bez tytułu.	Tytuł: <i>Paduchowa zagroda</i> (p. Marta W., Pruszków).
Godło „Ryś II” (p. Edmund D., Baranowicz) — Tytuł: 1) <i>Powrót</i> , 2) <i>Nędzarc</i> .	Tytuł: <i>Strzelec na wsi</i> (p. Michał B., Skopanie).
Godło „Ryszard Medewa” (p. Piotr B., Lida) — Tytuł: <i>Grzech</i> .	Tytuł: <i>Szczęście</i> (p. Klemens K., Łobdowo).
Godło „Wejdawutas” (p. Władysław S., Białystok) — Tytuł: <i>Urlop filologa</i> .	Tytuł: <i>Wahanie</i> (p. Helena W., Warszawa).
Godło „Władysław Gederba” (p. Władysław G., Warszawa) — Tytuł: <i>Wspomnienie</i> .	Tytuł: <i>Zazdrość</i> (p. Stanisława G.).
Godło „Victoria” (p. P. Z.) — Tytuł: <i>Bez nazw</i> .	Tytuł: <i>Zmierzch generacji</i> (p. Gustawa Stella K., Baranowicz).
Tytuł: <i>As i dziesiątka trefl</i> (p. Tadeusz T., Dąbrowa Górnicza).	Tytuł: <i>Zdeptane róże</i> (p. Roman Z., Włoszczowa).
	Tytuł: <i>Za cenę życia</i> (p. L. W., Pruszków).
	Nowela bez tytułu, bez godła — zaczyna się od słów: <i>Zresztą, Andrzej zawsze jakos dziwnie się zachowywał...</i>

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł, kwart. 5 zł, rocznie 18 zł, za granicą: mies. 2.50 zł, kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Wilam Horzyca